

ROZDZIAŁ VIII**O TYM, CO BYŁO****Stokroć szczęśliwszy od biednych Ślązaków¹***Relacje o Śląsku z połowy XIX wieku*

Do najznakomitszych postaci świata etnografii polskiej należy **Oskar Kolberg** (1814 – 1890) – folklorysta, etnograf, kompozytor. Pozostawił po sobie ponad 80 tomów ksiąg z prawie wszystkich regionów ziem polskich, podówczas znajdujących się pod obcą dominacją Prus, Rosji, Austrii. Opisuje w nich lud polski, warunki życia, obyczaje, pieśni. Kolberg, choć starannie wykształcony w wielu dziedzinach, nie uważał się za zawodowego etnografa, a celem jego pracy, jak wielokrotnie podkreślał, było gromadzenie materiałów. Część jego zbiorów z różnych rejonów dawnej Polski jest bardzo treściwa i starannie zredagowana,



35. Strzelin, kościół
zwany polskim

jednak informacje dotyczące Śląska należą do najstąbiej opracowanych. Kolberg miał duże trudności ze zbieraniem informacji w terenie, gdyż wszędzie napotykał się z zainteresowaniem władz i podejrzeniem o zbieranie informacji o charakterze wrogim. Pracował w zasadzie w konspiracji. Niejasny jest jego pobyt na terenach Śląska. Prawie na pewno był w Cieszynie, lecz organizacyjnie był to pobyt nieudany i po krótkim czasie stąd wyjechał. Nie zebrał tu wielu informacji lub wcale, a pozyskał je z korespondencji z osobami tu zamieszkałymi. Najbliższe „nam” miejscowości, które zostały wymienione w tekstach są: Cieszyn, Pszczyna, Racibórz, Ustroń, Bieruń, Brenna, Bogumin (Oderberg).

Do ważnej, historycznej obserwacji Kolberga można zaliczyć określenie granicy odkąd zaczynała się polska mowa, polskie wsie w połowie XIX wieku: „Już o półtorej mili od

¹ Cytat z: O. Kolberg, *Dzieła wszystkie, Śląsk*, tom 43, Poznań 1965. Numery stron, z których podawane są cytaty, znajdują się w nawiasach.

Wrocławia ku Górnemu Śląskowi nad rzeką Odrą i Oławą zaczynają się wsie polskie, to jest takie, gdzie lud po większej części lub mniejszej części albo ze wszystkim mówi po polsku, jako to: Ścinawa (Steinau), Wielkie i Małe Nadłowice (Gross U. Klein Naedlitz) itd. O trzy mile od Wrocławia jest parafia polska laskowska, do której kilkanaście wsi polskich ludnych należy, najcelniejsze Laskowice i Jalec, czyli Jelec.” (s. 5) - Jak wiemy zanik polskiej mowy mocno w tej części postępował, po drugiej wojnie światowej zaczął się dopiero od Opolszczyzny.

Na Śląsku Pruskim O. Kolberg zatrzymał się w okolicy Raciborza. Przebywał, przejeżdżał lub zbierał informacje o Śląsku korespondencyjnie w 1843 roku. Po dwudziestu latach, tj. ok. 1868 roku je opracowywał. Częściowo także na podstawie analizy prasy i piśmienniczych opracowań. Znał kilka języków. Resztę informacji zbierał obserwując teren z... okna pociągu: „W przelocie tylko przypatrywałem się tym dwom częściom Śląska pruskiego; (...) Jeden atoli rzut, choćby tylko z wagonu kolei żelaznej, wystarcza na przekonanie się o dwóch następujących faktach: o ile Śląsk Dolny staranną uprawą zamieniony został prawie w raj ziemski, o tyle powierzchowność mieszkańców jest wstrętą; i przeciwnie, dzikie okolice Górnego Śląska, uboższe, chociaż także więcej niż kraj nasz (Polskie Królestwo) posunięte w rolnictwie, odznaczają się ludem piękniejszej budowy ciała, estetyczniejszej odzieży, weselszego spojrzenia.” (s. 3)

Z takich więc źródeł będziemy otrzymywać informacje o Śląsku sprzed... 180 lat! – Zawsze coś...

Kolberg wjeżdżał na Śląsk z kierunku zachodniego, może wracając z Paryża. Zanim wjechał na dawne tereny polskie tak opisywał mieszkających tam Niemców (nazwał ich Wenedami): „Wieśniacy i wieśniaczki w tym grobowym stroju, o twarzach długich, szarych, smętnych, bez śpiewu, bez wrzawy krzątają się wśród swoich rozkosznych, cienistych wiosek, jakby nie byli panami bogatych niw i zamożnych domów, ale częścią inwentarza roboczego.” (s. 3)

„Śląsk Górny, mniej ludny, mniej starannie uprawny, przedstawia falistą wyżynę, mającą na zachód Sudety, na wschód pasmo wzgórzów górnośląskich; w środku wzgórze Chełmu i Świętej Anny urodzajne i dobrze uprawne okręgi Raciborza i Nissy, po lewej stronie Odry. Śląsk Górny jest obecnie ludnym, przemysłowym i bogatym w komunikację krajem. Wywozi szczególnie przedmioty kopalne, produkty roli, fabryk górniczych, drzewo, bydło, cienką wełnę i dobre konie — a do komunikacji służą (oprócz żwirówki i kolei żelaznej) rzeki: Odra, Kłodnica, Wisła i Przemsza, (około 150 mil żwirówki i 80 mil kolei żelaznej). (...) staranna melioracja gruntu i mocno rozwinięty chów bydła doprowadziły do pięknych gospodarstw rolnych. Lewa strona Odry przedstawia szeregi łagodnych wzgórz, z korzystnym spadkiem wód, głębokim pokładem urodzajnej gliny, tak iż okolice Lubczyc, Grotkowa, Koźła, Nissy, Nowego Miasta i Raciborza do najurodzajniejszych liczyć można, a pod względem rolniczej wysokiej kultury współzawodniczyć mogą z Niższym Śląskiem. Lud górnośląski jest w ogóle dorodny, regularnych rysów twarzy, wesoły, choć niezbyt żwawy, gościnny, ludzki i chętny do przysług. Dotąd zachował ubiór starożytny, właściwy sobie od wieków. Mężczyźni noszą sukmany, kapoty, kamzele i kapelusze, nie naśladując w niczym kolonistów; kobiety mają gorsety sznurowane z przodu, spódniczki krótkie wełniane lub perkalowe, stosownie do

pory, głowy związane chustkami kolorowymi, a na nogach trzewiki i czerwone pończochy. Oryginalny, ale miły przedstawia widok gromadka takich kobiet, migających z daleka jaskrawymi czerwonymi pończochami, niby gąski na murawie". (s. 4-5)

Zaraz za tym cytatem mowa jest o Beskidach i wiosce Brennej, lecz jest to jednozdaniowe wtrącenie. Prawdopodobnie owe czerwone pończochy widział jednak na Śląsku Cieszyńskim, gdyż właśnie takie tu kobiety nosiły.

Następnie dowiadujemy się o nadzwyczajnych osiągnięciach rolnictwa w okolicach Jaworu i Niemczy: „dobrobyt mieszkańców zależy przeważnie od siły produkcyjnej gruntu, Śląsk słusznie nazwać można krajem błogosławionym, bo ziemia tam wydaje z morga w przecięciu 36 czeskich (7j zł pol.) czystego zysku, (...) zatem nierównie więcej jak w pruskiej części Saksonii, gdzie rachują 62 czeskich od morga”. - Jest to jak widać i tak połowa mniej niż w Niemczech.

Górny Śląsk tamtych czasów zaczyna być znany z uprzemysłowienia, lecz czy Kolberg wykazuje się w tym opisie zbytnim obiektywizmem?: „Okolice Górnego Śląska w pobliżu Katowic i Glejwic, przeważnie górnicza, gdzie znajdują się dzielnie wyciskiwane kopalnie węgla ziemnego, rudy żelaznej, galmanu, poprzecinana gęsto siecią kolei żelaznej, gromnym wre życiem. Jest ludną, a ziemia tu starannie obrobiona i ogrodzona. Miasta i wsie ludne, bogate i pięknie a schludnie zabudowane. Pomimo tych zewnętrznych oznak zamożności ludność wiejska Górnego Śląska, mianowicie w stronach od kolei odleglejszych, ku góróm, w wielkim jest niedostatku z powodu przeludnienia, więc i trudnego zarobkowania **wieśniak w Królestwie Polskim, w normalnych postawiony warunkach, stokroć szczęśliwszym jest od biednych Ślązaków**, pomimo że nie można się tu pochłubić takim jak Śląsk Górny fabryczno-przemysłowo-handlowym rozwojem (...) **nie potrzebuje on zazdrościć sąsiadom ze Śląska ich domostw murowanych i gmachów wielkich, i wszystkich tych przyborów rozbijałego przemysłu; pod słomianą strzechą większego zakosztuje szczęścia, a ładem i pracą biedę wystraszy.** (s. 8)

Obecnie słów parę na temat warunków życia na śląskiej wsi, o domach, podwórkach, a najwięcej o ogrodzeniach i płotach, czyli chyba o tym, co widać było z pociągu: „przy granicy polskiej mieszkania Górnoślązaków podobne są do mieszkań polskiego ludu; atoli daleko lepsze od tamtych.” „W powiecie pszczyńskim lubo tam drzewa nie braknie, mało o płoty dbają; na to miejsce są tam lasy obszerne, ogrodzone. W raciborskim powiecie jest wiele wsi, gdzie płoty z chruściny plecione utrzymują. Nad granicą Królestwa Polskiego mają chłopci wrota do podwórek na obłąkach, czyli wiciach dębowych; ale mało kiedy je zawierają; W raciborskim powiecie jest wiele wsi, gdzie płoty z chruściny plecione utrzymują. (...) Po św. Michale aż do wiosny stoją wrota takowe wciąż otworem, bo w czasie tym idzie bydło na samopas (...) Chodzą też wtenczas świnie całymi stadami i czynią w polach i ogrodach niezmierne szkody”. (s. 12)

Opis wnętrza chat nie świadczy o zbytnim bogactwie ich właścicieli, nie wiemy jednak o jaki region chodzi, prawdopodobnie są to okolice nadgraniczne z zaborem rosyjskim. „Dom wiejski ma zwyczajnie tylko jedną izbę mieszkalną. Tu stoi przy drzwiach ceber wielki do wody; bardzo rzadko stągiew. Przy nim szafa (półka) na misy i garnki. (...) teraz używają

garnków żelaznych. Pod oknami stoi długa ława, przed nią stół, a przy nim mała ławka; nad ławą zawieszona jest listwa, za którą talerze i małe garnuszki ustawione bywają. Stołki tylko u rzemieślników się znachodzą, jako też i szafy na wieszanie przyodziewku. W rogu izby stoi szerokie łożo, w którym gospodarz, żona i małe dzieci spijają. Dla dzieci większych stoi w drugim rogu wyrko (cztery koły deskami zbite i barłogiem nakryte); doroślejsi śpią za piecem lub gdzie się kto porzuci. Na ścianie wisi kilka obrazów na szkłe malowanych lub innych w ramy i za szkło oprawionych. U drzwi przy komorze stoją żarna, konwie, skrzynie i lada (skrzynia) do sieczki. Otóż i całe bogactwo domowe. W komorze stoją beczki kapuściane i jakie burkloty (to jest: stare sprzęty). Na górze (pod strychem) jest zboże w solarkach (solówkach); wchodzi się na górę po przystawionej drabinie, bo schody małe gdzie się zdarzają. Chlew jest zaraz przy sieni, do którego wieczorem nie lękają się z zapalonymi szczepami wchodzić; latarni nigdzie nie ma ani by też chłop, jak rok długi, świeczki nie kupił (osobliwie w lesistej okolicy). Przed oknami jest kilka grządek, na których chłop we wiośnie kapustę i kartoflę sadzi; a to jest całym ogrodnictwem jego. (...) O drzewa owocowe włościanie nasi bardzo mało dbają, (...) luboby z nich znaczny użytek mieć mogli. W stodołach, nie bardzo od domów odległych, młóć wieczorami lub nade dniem przy łuczywie. osobnych pieców piekarnych nie mają, to prócz świąt i wesół (wesel) mało kiedy też chleb pieką. Niektórzy tylko mają przy kominkach małe piecyki, które szabatnikami zowią. (...) Pszczół bardzo mało trzymają. Na podwórku przez noc nic zostawić nie mogą, boby im wszystko pokradzionym zostało; nawet koła z woza, pługi i brony znoszą na każdą noc do sieni". (s. 11-13)

Sposób relacjonowania obserwacji ze Śląska wypada określić mianem „rewelacji śląskich Kolberga”: „uboższe, chociaż także więcej niż kraj nasz (Polskie Królestwo) posunięte w rolnictwie”. „Wieśniak w Królestwie Polskim (...) stokroć szczęśliwszym od biednych Ślązaków (...) pod słomianą strzechą większego zakosztuje szczęścia, a ładem i pracą biedę wystraszy”. „Mało kiedy chleb pieką”. (...) Przez noc nic zostawić nie mogą, boby im wszystko pokradzionym zostało”. (...) Mało o płoty dbają”. (s. 8-13)

Opisana przez Kolberga została także obrzędowość śląska, która pokrywa się dość ściśle ze słowiańsko-polską, katolicą. Do kulturowanej także w regionie czechowickim zaliczyć można Nowy Rok, Wielkanoc, Boże Narodzenie, Zaduszki, marzannę, dożynki, andrzejki. W dożynki chłopi i służba dziękują gospodarzowi, wręczają wieniec, adorują ostatni snop, wnoszą go do stodoły, tam tańczą, a następnie w gospodzie. W sobótki odbywa się palenie słomy nasączonej smołą na wzgórzach lub na drągach, wykonuje skoki przez ognisko i płasy. Opowiadane były legendy o śpiącym wojsku św. Jadwigi, żywe było podanie o rycerzach polskich drzemiących w podziemiach różnych miejsc. - Należy zauważyć podobieństwo obrzędów w okolicach Czechowic, ten dzień obchodzono podobnie, przy czym jeszcze okadzano pola. Jest też legenda o śpiącym wojsku na Podraju.

Dalej Kolberg opisuje wieczory przy kądzieli: „Dziewuchy, wydobywszy kołowrotek lub kądziel, schodzą się gdzie w izbie, aby prząść wspólnie i długie godziny wieczorne skracać sobie opowiadaniem powiastek, które tym więcej zajmują, im treść ich straszniejsza. Rzecz naturalna, że schadzki takie nie odbywają się bez towarzystwa parobczaków, a niejedno

małżeństwo kojarzy się przy tej sposobności. Jeżeli humor i mienie po temu, zebrani na taką wieczornicę spijają ponczyk z dodatkiem krepki, rodzaju ciasta smażonego". (s. 28-29) – Zwyczaj ten żywcem przypomina szkubaczki opisane przez Marię Czyż z Zabrzega w humoresce *Zabrzskie szkubaczki*, mamy tu nawet znane u nas krepki (pączki).

Nareszcie o tym, co najbardziej nas powinno zainteresować, obserwacje przybysza z zewnątrz o mowie, języku, gwarze śląskiej sprzed, bagatela, 180 lat.

„Najlepiej po polsku mówią w cyrkule opolskim, raciborskim, oleskim (Rosenberg) i lublinieckim. W miarę zbliżania się ku Wrocławiu traci język ten widocznie na zgodności i na właściwie polskich wyrażeniach; pod Wrocławiem jest na koniec tak zmieszany z wyrazami niemieckimi, że częstokroć tylko zakończenia brzmienie polskie mają, np. rajtować na ferdowu (reiten, Pferd - jechać konno). W dawniejszych parafiach polskich znajdują się już często wsie niemieckie, tak iż w kościołach w dniu niedzielne i świąteczne po dwóch kazaniach niemieckich tylko jedno polskie następuje; zabawna to rzecz słyszeć kaznodzieję w dwóch językach, a źle w każdym mówiącego. (s. 150)

„Dialekt polski Niższego Śląska różni się od książkowego (hochpolnisch) wymawianiem, mnóstwem archaizmów oraz zdarzającymi się dość często germanizmami. Co do wymawiania, różnice przez autora wykazane nie są zbyt uderzające. U niższych Ślązaków niekiedy brzmi a jak o, zamiast ja, pan mówią: jo, pon; głoski cz, sz, szcz, ż brzmią jak c, s, sc, z; mówią zatem: cekaj, Kalis, szczęście, żywot. „Niżsi Ślązacy często używają jeszcze liczby podwójnej: dwie lecie, dwie nodze, dwie słowie; niekiedy przypadek liczby mnogiej kończą na -oma zamiast na -ami: rączkoma, wołoma; w drugim przypadku zamiast pracy, krwi, ziemi mówią: prace, krwie, ziemie. U nich bodaj jednych utrzymała się jeszcze dawna forma bych zamiast bym: ja bych dał, bylbych ja posiał, żech tu szedł. Od Niemców przejęli zwyczaj używania w słowach liczby mnogiej na znak uszanowania, np.: co mówią? albo co oni mówią? zamiast co mówicie?, co pan mówisz?, oni są doma zamiast pan jest w domu; podobnie: ojciec poszli do ogroda, matka żyją. Wszakże ten ostatni sposób wyrażania się i u naszego wielkopolskiego i mazowieckiego ludu nie jest rzadki. Czystymi germanizmami są: dwa dwadzieścia, trzy dwadzieścia zamiast: dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy itp. Ciężko tu idzie jechać, wystać zamiast wytrwać. Mowa polska niższych Ślązaków bynajmniej osobnym dialektem nie jest, że to, owszem, mowa czysto polska, do której tylko przez naturalny wpływ okoliczności wkradła się pewna liczba wyrazów i wyrażeń z niemieczyny przejętych”. (s. 150-151)

Co do języka Górnos Ślązaków: „Proboszcza nazywają fararzem, a pacierz mówić: rzekać; narzeczony — żenik z czeskiego; pierścień — piestrzeń; wstążka — fabor; zapowiedź — ogłoska. W rozmowie przez uszanowanie używają zaimka oni, podobnie jak w Krakowskiem. Mniej świadomy tego zwyczaju, zaraz na wstępie nie porozumiałem się ze Ślązakiem. Spotkawszy chłopka pracującego na polu, pochwaliłem Pana Boga i zapytałem: „Czy mówicie po polsku?" „O ja!" — odpowiedział wieśniak. Niemieckie ja służy tam jako twierdzenie, tak używają już tylko do porównania. „Wy zapewne z tej wioski?" — zapytałem,

pokazując bliskie chaty. „Ja” — odpowiedział. — (...) Galoty — spodnie, jedno i drugie z czeskiego. Westa jest kamizelka, z niemieckiego; (...) Ciepać, rzucać, jest używane i w Wielkopolsce; (...) Siedłaki — wieśniaki (z czeskiego: sedłak), cera — córka; roztomiła — ukochana; obili — żyto; pohanka — gryka; lito — żal — wszystko to są czeskiego pochodzenia wyrazy. Wdycki — zawsze. (...) Rozumie się, że trafia się także dużo wyrazów naleciałych z niemieckiego języka: kupiłem harynka (śledzia); wziąłem myckę na głowę. (s.152-153)

„W Dolnym Śląsku pozdrawiają pospolicie: Szczęść Boże! Boże wam pomagaj! Pomoże Bóg! Na co odpowiedź: Panie Boże wam daj zdrowie! Boże i wam daj szczęście! albo: Witaj! Witajcie!” (s. 155)

Dość popularnym tekstem wśród dialektologów zajmujących się gwarami dawnymi jest „List ucznia, w szkole w Opolskim Śląsku”, napisany do ojca w roku 1826:

„Libe Faterliczku! Pozdrawuja waus tez na sto tysięcy razy i donosa wom, ze jestech z taski Boga zdrów, jakeście mię san [tu] do tej skoy (szkoły) odwieźli, to tez widzicie, ze sam nie mom godu (głodu), na frystyk pjan (piję) solka (szklanke) jedna i drugą kofeju, a przedsię ję paura pejzow ze spekię (jem parę speisów ze słoniną), a na wieczrą jarmuzu — to też widzicie, ze san nie mom godu, ucionech się tez w noga srodze, toć tez mi się zgoiła, chwała Bogu a kupcie mi też tam ankeju (nankinu) na litewka i na galoty (na sukmanę i spodnie), kartonu na westa (kattunu na kamizelę) i kapalus nowy, bo mi się mycka zoztyrgawa (roztargała), i przyslicie paran piętaków (5 Pfennige) na spandliki dlau dziewczki, jak mi bandzie chusty warzyć i razy (razem) tez mi skrzypka nową kupcie, bo u terazkiego farauza (Pfarrer) banum grauwać (będą grać) na chorze, a i mse tez bana (będę) na niej rzempolił. Libe faterliczku, ta skoa iśnie (istotnie) mi się nadawa, bo się tu ma rozności — cytać, pisać cajtwertów ministrunku i noguma figać tam i san, bo tu jest ta stara frycka z Broclawia, ciście ją dauwnok (dawno) znali i rażę (razem) tez możecie przysłać mi pauran zagłówków poduszek), bo nas farauz nie ma zbytnich betów (Betten), a jau musan (muszę) na goem (gołem) łozu legać, pozdrówcie tas tan ode mnie tego małego brata Kaurlika (Karl) i kiby (gdyby) jeny miau tan chańc (tam chęć) na księdza, co jau mom. Muj Kaurliku, niech ci też tan Paun Bog da zdrowie, i ty, Siarlota (Charlotta), kibyś bya (żebyś była) wsandy (zawsze) zdrowa. Uilha, Pautra, Staurka i syćkich wasi przyjaciele, których wy satrzycie (z którymi obcujecie), pozdrawiają — bandzie tes tu Kiermas w Nouselach, to tez możecie na nia przyiechać — poyćcie (powiedzcie) tez tan Kaurlikowi, kiby ję ze Siarlotą syćko nie swarzył, boć kozak wartki na smyki (prędko do sprzeczki). Teraz pozdrawuja waus i sićkich z serca, Libe faterliczku – Cypmfeld. (nazwisko) (s. 153-154)

W rozdziale *Pieśni powszechnie* znalazła się u Kolberga *Kolęda ze Zboru Cieszyńskiego*, która w swej formie jest nadzwyczaj frywolna, a nawet rubaszna, nie nadająca się do cytowania. Bohaterem jest tyłek, zwany jak wiadomo po śląsku *rzić*. Lecz nie chodzi tu wcale o tę część ciała, a o krytykę ludzkich przywar oraz pewnych instytucji. Niewykluczone, że została napisana przez „nieewangelika” w ramach nienajlepiej pojętej ekumenii i nieco przypomina tematyką *Rozmowę między wójtem, panem, a plebanem*. Pasują do tego choćby słowa: *Ludzie dawają mało, a zbawienie zdrożało*. Nie to jest jednak ważne z punktu

językowego, a pewna ilość śląskich, cieszyńskich słów. Oto one: *bych, cera, cosi, dawają, floster, kanyż, moc, namawka, narychtował, se, szpetno, szmarował, rzić, zwizytyruje*. (s. 55-58)

- W części końcowej tomu znalazł się dość krótki **Słowniczek** śląskich słów (s. 156-158):

bigłować chusty — prasować bieliznę (Jastrzębie)
 chodawry — buty (*por. ciesz. charboły, chorboły*)
 dwunasta pizła — wybiła 12 godzina (Ustroń)
 dycki — zawsze, zaraz (Bogumin, Jastrzębie)
 fararz — proboszcz (Bogumin)
 farorz — proboszcz (Jastrzębie)
 frejliczka, frelka — panna (Jastrzębie)
 fusekle — skarpetki (Bogumin)
 galoty — spodnie (Jastrzębie)
 kabza — kieszeń (Jastrzębie)
 kiszka — mleko kwaśne (Jastrzębie)
 łągzof — suchoty (z niem. Lungensucht), (Bogumin), *por. ciesz. lónzok*
 na zadku — z tyłu (Ustroń)
 nie stykło — nie starczyło
 po rząd — po kolei, *por. ciesz. porzad*
 prać, przanie — kochać, miłość (Jastrzębie)
 rejzować — podróżować (Jastrzębie), *por. rajzować*
 swaczena — podwieczorek (Bogumin)
 synek — chłopiec (Jastrzębie)
 szpendlik — szpilka (Bogumin)
 szumny — ładny (Jastrzębie)
 swidrzy, świdruje — zezuje (Jastrzębie)
 ujek — wuj (Jastrzębie)
 wachciarz — stróż (Bogumin), *por. wachtyrz, wachtorz*
 woniaczki — bukiety kwiatów, družbom dawane, *por. wónki*
 zatopić — napalić w piecu (Jastrzębie)
 żemla — bułka (Bogumin)

Omówienie:

Skoncentrujemy się tu wyłącznie na sprawach językowych. Największą wartość stanowi relacja z Niżnego, czyli Dolnego Śląska, w którym gwara śląska do czasów

współczesnych nie dotrwała. Zaginęła pod wpływem germanizacji niedługo przed II wojną światową, a po 1945 roku trafili tam przesiedleńcy zza Buga, którzy przynieśli swoją mowę, obecnie określa się ją mianem nowych dialektów mieszanych.

Wg relacji Kolberga, w połowie XIX wieku, ludzie pozdrawiali się na Dolnym Śląsku Szczęść Boże! Boże wam pomagaj! Uderzające, że nawet do dziś rolnicy w polu lub pracujący wokół domu i w Cieszyńskim, i na sąsiednim Górnym Śląsku, nawet górnicy, mówią sobie Szczęść Boże! Boże pumogej! A pół wieku temu można było jeszcze spotkać Boże naspórz!

Dowiadujemy się o występującym tam mazurzeniu, co jest pewnym zaskoczeniem. A więc wymowa: cekaj, szczęście, żywot, znane w Małopolsce, wschodnim i północnym Górnym Śląsku, ale także w gwarach północnej Opolszczyzny dochodziło, jak się okazuje aż do Dolnego Śląska włącznie. „Zamiast pracy, krwi, ziemi mówią: prace, krwi, ziemie”. Osobiście słyszałem słowo krwi dokładnie w tej odmianie w Zabrzegu, Ligocie i okolicy. Oczywiście znajoma aorystowa końcówka -ch czasownika: „ja bych dał, byłbych posiał, żech tu szedł” obowiązuje w gwarze również „naszej” części Śląska jeszcze do dziś. Dalej: „używanie w słowach liczby mnogiej na znak uszanowania, np.: co mówią? albo co oni mówią? - zamiast co mówicie?, co pan mówisz?, oni są doma zamiast pan jest w domu; podobnie: ojciec poszli do ogroda, matka żyją”. – Ta forma była używana przez pokolenie starszych ludzi i ją jeszcze pamiętam. Gwoli sprawiedliwości występowała ona również poza Śląskiem. Natomiast „są doma” jest śląskie i w obszarze czechowickim oraz gwarze ogólnej tak samo występowało „My sóm dóma”. Odnośnie struktury liczebników złożonych, formy: dwa dwadzieścia, trzy dwadzieścia zamiast: dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy itp. w Cieszyńskim brzmiały podobnie: dwa a dwacet, trzi a dwacet. Używanie słowa posiłkowego idzie, np. „Ciężko tu idzie jechać” jest w czechowickiej mowie także obecne i tak samo słowo wystać (*ciesz.* wystoć) oznacza wytrwać.

Niewiele zmieniło się od czasów Kolberga do dnia dzisiejszego w odniesieniu do języka Górnos Ślązaków. Jednocześnie wszystkie podane wyrazy używany były lub są w gwarze cieszyńskiej. A więc: proboszcz - fararz, pacierz mówić - rzekać; narzeczony — żenik, zapowiedź — ogłoska. „O ja!” — O tak, galoty — spodnie, westa — kamizelka, ciepąć - rzucać, siedłaki — wieśniaki, cera — córka; roztomiła — ukochana; obili — żyto; wdycki — zawsze, harynek — śledź, wyrko — łóżko, na górze — na strychu, kreple - pączki itp. Widoczny w tekście minimalnie inny zapis zapewne pochodzi od osoby, która go sporządziła. Poprawnie słowa prawdopodobnie powinny brzmieć: farorz, rzykać, żynich, ogłoszka (w *ciesz.*), siedloki (w *ciesz.*), dycki. Harynek, jako śledź, w czechowickiej mowie nieobecny, znajduje się jednak np. w słowniku z Zebrzydowic i gdzieś na Górnym Śl.

Dość sporą dawkę gwary opolskiej, w odmianie północnej, otrzymujemy w postaci „listu ucznia do ojca” z 1826 roku. Autorem był zapewne syn bogatego siedłaka (*ciesz.* siedloka, gospodarza) lub mieszczanina, wyłanego na nauki prawdopodobnie „za księdza” do jakiejś miejscowości koło Kluczborka. List potwierdza występowanie polskiej mowy w tym niemieckim rejonie, zarazem jest kopalnią wiedzy o ówczesnej opolskiej gwarze, która nie aż tak wiele zmieniła się do dnia dzisiejszego. Mamy tu zatem do czynienia z charakterystyczną tylko dla Opolszczyzny dyftongizacją: da^uwnok, wa^us (dawno-m, was), występującą w śląskich gwarach północnych i zachodnich odmianą czasownika być wg

drugiego paradygmatu (zachowaną też w gwarze zarzeckiej koło Chybia²): bandzie, banum; staropolskimi archaizmami: srodze, syćko; typową dla gwar opolskich i „górnosląskich” końcówką czasowników –a: pozdrawuja, donosa (pozdrawiam, donoszę); obecnymi w całym dialekcie aorystem –ch: uciónech sie; mazurzeniem w części Śląska: cytać, rozności; słownictwem śląskim: sam, zagłówek; germanizmami: libe faterliczek, cajtwerty, spandlik; bohemizmami: galoty; frazeologizmami śląskimi: nie ma głodu i kilka jeszcze innymi zjawiskami.

W czechowickiej północno-wschodniej odmianie gwary, z wymienionych zachowały się: aoryst –ch: ucionech się, a ze słownictwa w podobnym brzmieniu: farorz, foterek, galoty, nadowo, poyćcie (skrót), sam, szpek, szpyndlik, zogłówek; frazeologizm: ni móm głodu.

Dużą część tomu o Śląsku stanowi zbiór ludowych pieśni i piosenek, kolęd, których nie jestem w stanie docenić od strony muzycznej, natomiast ich teksty są spolszczone do tego stopnia, że trudno nawet mówić o ich gwarowej stylizacji, jedynie odnotować pojedyncze gwarowe wyrazy.

Wycieczka w odległą przeszłość językowego Śląska może wzbudzać różne uczucia, od zaciekawienia i zdziwienia po pewien zawód. Dla mnie jest nim choćby dlatego, że gwara, jako mowa naszych dziadów i ojców, mimo różnych przeciwności przetrwała stulecia, a oto ginie na naszych oczach... Lecz Kolberg nie ma z tym nic wspólnego...

Miłość w czasach monarchii

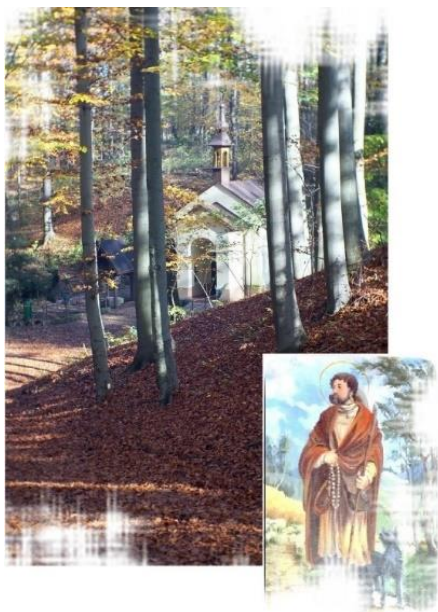
opowiadanie

Akcja dzieje się **za czasów austriackiej monarchii, ważnego etapu naszej historii i tożsamości**. Shołdowane królom czeskim ziemie znalazły się pod berłem cesarza Austrii, będącego jednocześnie czeskich Królem ziem śląskich. Bywało w tamtych czasach, że tłumy dziedziczan, czechowiczán, zabrzeżán, zarzeczan witały swego cesarza w rodzinnych progach. Kochały go. Moja babcia, której młodość przypadła na czasy austriackie, do końca wierzyła w powrót niebogi Austryje. Do Frydka chodziły na pąc, a później podróżowały cugiem, rzesze naszych ziomków. Ligocki ksiądz proboszcz Ryszard Jarosz zapisał w parafialnej kronice: *W 1877 roku sam Pan Prezydent kraju objeżdżając Kraj Cieszyński i Bielski zawitał do Ligoty i wizytował okolice i nasze rzeki*³. **Tamten okres już na dobre zatarał się w pamięci...** Przypomni nam go epizod z życia żołnierza CK, który sprowadził do Rudzicy obraz świętego

² Z. Nowrotek, *Zarzecze, Zarzecze*, Mnich 2022, s. 121-182.

³ Ks. R. Jarosz, *Kronika parafii*, 1890 r., tłum. G. M. Chromik 2004 r. rękopis.

Wendelina. Pod rudzicką kempą stoi poświęcona Wendelinowi kaplica, do dziś trwa jego żywy kult.



36. Kaplica św. Wendelina w Rudzicy

Prezentowana opowieść jest wersją publikowanego już opowiadania⁴

przekształconego w ten sposób, że dyskretniej kreśli wątek religijny, a wyraziściej historyczno-kulturowe tło czasów, w których żyło wiele pokoleń naszych przodków. Zarazem ukazuje subtelną miłość **człowieka stela** i francuskiej guwernantki, Karola i Caroline.

Austria, St. Pölten pod Wiedniem, ok. 1850 rok

Oberjäger Karol, wierny wojak CK armii, szlifował jeszcze zelówki na koszarowym egzercyroku 21 regimentu stacjonującego pod Wiedniem, lecz były to już jego ostatnie dni dwudziestoletniej służby. Dawno dorobił się untermajstra z dwoma gwiazdkami, a tu na koniec taka niespodzianka, przed przejściem do cywila dowództwo dorzuciło trzecią gwiazdkę.

Od pewnego czasu żył już planami na przyszłość, a jedno z marzeń, to zawieźć do domu pewien święty obraz, gdyż stało się tak, że zaczęła szaleć straszliwa zaraza i ofiar było wiele. Tylko w alpejskiej wiosce Grän, gdzie wtedy stacjonował, prawie wszyscy ludzie ocaleli. Przypisywano to działaniu świętego Wendelina, gdyż stał tu niepozorny kościółek pod jego wezwaniem i piękny jego wizerunek w postaci witrażu, tworzącego niezwykłą iluminację. Karol, wielokrotnie wzruszony tym widokiem, postanowił zawieźć do swojej Rudzicy poświęcony obraz św. Wendelina, by chronił jego ziomków przed chorobami.

Mariazell, koniec służby

W świętym miejscu Mariazell trwało specjalne nabożeństwo dziękczynne za szczęśliwie przebytą służbę. Panowie żołnierze, w odświętnych mundurach, znaleźli się w sanktuarium przed obliczem Wielkiej Matki Łaskawej Austrii. Karol po raz pierwszy widział tę ogromną świątynię z trzema wieżami na tle szarych, kopulastych gór, z imponująco wysoką nawą, wewnątrz której wznosiły się potężne białe kolumny sięgające sklepienia, niczym

⁴ Na podstawie opowiadania „Niezwykła podróż niezwykłego żołnierza w niezwykłym towarzystwie z niezwykłym obrazem w niezwykle miejsce Piekłem zwane” z książki Z. Nowrotka, *Rajskie lasy*, Ligota 2021.

podpierające firmament niebieski. Nieskazitelna biel ścian komponowała się ze złotą sylwetką figury Maryi z Dzieciątkiem. Wielkie, złoto-srebrne organy grały donośnie, to dudniły basami, aż wszystko drżało, to zaś z cieniutkich piszczałek wylatywały ulotne dźwięki, które błędziły wysoko ponad kryształowymi żyrandolami i figurkami aniołków aż pod sam sufit. Gdy organy zmiłkły, rozległa się muzyka orkiestry wojskowej, trąby, rogi, klarnety, puzony, tuby, waltornie, kotły, bębny i werble prześcigały się, które zagra głośniej, które piękniej, które wykwintniej. W końcu wszystkie instrumenty zespoliły się z organami, żołnierze powstali na baczność, a z ich ust rozległy się dwie najstynniejsze i najznakomitsze w całym cesarstwie pieśni: *Te Deum laudamus* oraz hymn cesarski *Kaiserhymne*:

Gott erhalte Franz den Kaiser, Unsern guten Kaiser Franz,

Hoch als Herrscher, hoch als Weiser, Steht er in des Ruhmes Glanz.

Liebe windet Lorbeerreiser, Ihm zum ewig grünen Kranz.

Gott erhalte Franz den Kaiser, Unsern guten Kaiser Franz!

Podniosłe nabożeństwo z udziałem świty duchownych oraz oficerskiego korpusu dostarczyło zupełnie nowych, nieznanym Karolowi wrażeń. Poczuł się ważnym, docenionym człowiekiem, miał wrażenie, że sam cesarz go zna i na niego patrzy z licznych obrazów. Jakżeż inne były te chwile od szarych dni koszarowego życia i służby na odległych, niebezpiecznych Bałkanach. Nie żałuje oddanych ojczyźnie lat. Opuszczając mury świątyni poczuł się zupełnie odmieniony i teraz wkraczał w inny świat. Spacerując po Hauptplatzu pełnym pielgrzymów, na nowo dostrzegł ludzi. Odkrywał w nich pociągającą różnorodność wyglądu, ubioru, języków. Patrzył na nich jak na przyjaciół, bliźnich, swoją wielką, ludzką rodzinę.

Na placyku stały niezliczone kramy z ogromnym repertuarem religijnych pamiątek. Karol kierował wzrok ku straganom ze świętymi obrazami, a jeden z nich od razu rzucił mu się w oczy. Solidny, ładnie wykonany, malowany na blasze. W ramie obrazu artysta umieścił postać człowieka jeszcze młodego, pastucha ze stadem owiec, wędrującego z różańcem i wiernym psem, zaś w dali majaczyły zlewające się z horyzontem sinawe góry. Jakież to wszystko było Karolowi bliskie, przypominające beskidzkie krajobrazy. Sprzedawca, widząc jego zainteresowanie, błyskawicznie zaczął reklamować wierszem przymioty świętego i to w kilku językach, gdyż z różnych stron byli tu pielgrzymi:

Aus Schottland kam der Wendelin, geboren als Sohn der Königin!

Vítali ho v Římě, setkal se s papežem. Za své zásluhy prohlášen za svatého!

W Rzymie powitany, z papieżem widziany, świętym uznawany, ludu jest patronem, w chorobie ochroną!

Karol polecił spakować obraz, nawet nie pytając o cenę. Radował się, że udało mu się zdobyć wymarzony obraz w tym świętym miejscu. Ostatnie lata bardzo doświadczyły Austrię i Europę, przez miasta i wioski przetaczało się morowe powietrze, które pozbawiało życia tysiące ludzi, a wszyscy uciekali się do Pana Boga litościwego, do różnych świętych, a wśród nich był święty Wendelin.

- A w mojej Rudzicy ten obraz będzie ochraniać naszych ludzi – myślał i marzył. Zapewni mu szczęśliwą podróż, gdyż święty ten jest zarazem patronem wędrowców.

Powrót do domu

Zaledwie parę dni później, o poranku, wielka furta koszarowej bramy zamknęła się za mężczyzną ubranym w żołnierski wyjściowy mundur z ruzkakiem na plecach oraz przytroczonym do niego czymś wielkim, o dziwnym kształcie. Człowiek ten oddalał się od wojskowych zabudowań. Zrobił może sto kroków po wybrukowanej ulicy, zatrzymał się, odwrócił i dłuższą chwilę patrzył na miejsce, skąd wyszedł. Na końcu ulicy, za wysokim parkanem, gdy nikt go nie widział, podskoczył jak dziecko z radości, przebierając nogami w powietrzu.

W centrum, w ulicy przylegającej do Rathausplatzu, stały powozy i dylizanse do Wiednia i Linzu. Jeden z fiaków zaproponował Karolowi Wiedeń za dość dobrą cenę, lecz pod warunkiem dokooptowania drugiej osoby. Wtedy nieoczekiwanie podszedł do nich mężczyzna w średnim wieku, dobrze ubrany w towarzystwie szczupłej damy.

- Dzień dobry, panowie! Podchodzę, bo widzę tu pana wojskowego, jakie to szczęście, gdyż mam pewną damę do oddelegowania do Wiednia. Zapewne czułaby się bezpieczniej w takim towarzystwie. Mam zaufanie do austriackiego oficera. Pani Caroline – tu wskazał na kobietę - jest francuską guwernantką w trakcie zmiany pracy i właśnie przeprowadza się do posiadłości mego znajomego we Frydku na Morawach. A pan zapewne na urlop do rodziny, można wiedzieć w jakie okolice?

- O, daleko, na sam koniec austriackiego państwa, do Bielska.

- Ach Bielitz, Öst Schlesien, wiem, wiem, znane fabryki z pierwszorzędnymi materiałami na ubrania. Miałem tam kiedyś dobrego przyjaciela, inżyniera. No to jesteśmy właściwie już znajomymi. Ale zaraz, zaraz, mówisz pan Bielitz. Czy aby droga nie prowadzi tam przez Frydek?

- W rzeczy samej. Przez Brno, Olomouc i Frydek.

- Drogi panie, spadł mi pan prosto z nieba, nie mogę nie skorzystać z takiej okazji! Czy moja prośba nie będzie wygórowana, jeśli zawrę z panem taką dżentelmeńską umowę, pan spoglądnie na panią w podróży, pomoże w przesiadkach, a ja w rewanżu opłacę panu przejazd aż do samego Frydka!

Mężczyźni podali sobie ręce, a Karol się przedstawił.

- Ach, cóż za miły zbieg okoliczności Karolina i Karol. Trudno o lepszy dobór imion naszych podróżników – powiedział.

Guwernantka uśmiechnęła się nieco zdziwiona. Chwilę później oboje siedzieli już w powozie do Wiednia. Karol z zainteresowaniem, choć zachowując maksimum dyskrecji, spoglądał na Caroline. Nie widział jeszcze... tak pięknej kobiety! Czterdziestoletnia, sztywnie ubrana w podróżną suknię opiętą w talii, podkreślającą walory figury. Twarz

rzadkiej urody o ogromnych granatowych oczach, to ginące w cieniu obszernego kapelusza, to rozświetlane padającymi na nie promykami słońca.

Caroline starała się nie okazywać zainteresowania towarzyszącemu jej mężczyźnie. W istocie zaś nie przestawała o nim myśleć. Odpowiadał jej ten typ dojrzałego mężczyzny, na dodatek w eleganckim wojskowym mundurze. Przede wszystkim ujęło ją spokojne, wyważone zachowanie i wyczuwalna we wszystkich gestach pewność siebie, zarazem opiekuńczość. Jednak od początku intrygował ją ten wielki przedmiot przymocowany do plecaka, gdyż upatrywała w nim niepokojące podejrzenie.

W pewnym momencie woźnica zakomunikował:

- Dojeżdżamy do Wiednia, tu kończy się nasza wspólna podróż, ale jak obiecałem, znajdę państwu powóz do Brna, a może i dalej. W tym czasie można uraczyć się smacznym jedzeniem, proponuję słynny wienerschnitzel.

Dwoje podróżnych kończyło właśnie posiłek, gdy kelner przyniósł dwa okazałe kielichy czerwonego wina. Niewielka dawka napoju zmniejszyła dzielący ich dystans do tego stopnia, że dama zaproponowała przejście na ty, choć zaraz przestraszyła się swojego pomysłu.

Na dworze czekał już przestronny pojazd na dalszą trasę. Wkrótce poruszał się cicho i płynnie po oceanie naddunajskich nizin, pełnych rozległych uprawnych pól, a przed Brnem łagodne pagórki porośnięte winoroślą. Para podróżnych siedziała już nie naprzeciw, a obok siebie. Wiele z sobą rozmawiali. Kobieta pozwalała sobie czasem na wesołość i żarty. Mężczyzna z kolei prowadził rozmowę spokojnie, wydawał się nie należeć do wojskowych typu przywódcy, raczej sprawiał wrażenie negocjatora wojennych porozumień. Caroline bardzo to odpowiadało.

Rozmowę przerwał nagle głos fiakra:

- Państwo choć zauważyli, że wieczór się zbliża? Za godzinę będzie całkiem ciemno. Do Brna dziś nie dojedziemy. Za późny był wyjazd. Konie zmęczone i głodne. Trzeba myśleć o noclegu – zakomunikował.

Morawy

Gdy mrok utrudniał dalszą jazdę, powóz zatrzymał się przy niewielkim, lecz szykownym gasthauzie. Przez uchylone drzwi w czasie kolacji mieli wgląd na główną salę w gospodzie. Było w niej wielu podróżnych i panował wielki gwar. Wino i piwo lały się strumieniami. Obecni tam ludzie beztrudnie bawili się przy miejscowej muzyce. Kobiety tańczyły w takt rytmicznych melodii, czasem zatrzymywały się i zabawnie mężczyznom groziły palcami, a oni odśpiewali:

Holka modrooká neseďávej u potoka, holka modrooká neseďávej tam.

V potoce se voda točí, podemele tvoje oči. Holka modrooká neseďávej tam.

- Nie wiedziałam, że tutejsi ludzie są tacy radośni i weseli. Kim oni są, jaka to mowa? - zapytała.

- Jesteśmy na Morawach. W wojsku Czesi i Morawiacy byli najbardziej wesołymi żołnierzami, mieli świetnych muzykantów. Zresztą Ślązacy nie gorsi. To tam, skąd jestem.

- Jesteś ze Śląska? A czym wy się wszyscy odróżnacie?

- Opowiem ci kiedyś.

- Wiesz, miałabym ochotę zatańczyć z nimi, ale tego oczywiście nie zrobię. Jakby to wyglądało, poza tym nie znam tych tańców. Połamałabym sobie nogi.

- Dobry pomysł, zatańczymy tutaj, gdzie nikt nas nie widzi.

Wziął Caroline za ramię. Zatańczyli. Chyba nawet nie słuchali, co grają i śpiewają:

Běží voda, běží, po kameni šustí, řekla mně má milá, že už mě opustí.

Teče voda, teče, po kameni skáče, když mě milá nechce, ať si jiný pláče.

[Bieży woda bieży, po kamieniach szuści, rzekła mi ma miła, że już mnie opuści. Ciecze woda ciecze, po kamieniach skacze, gdyż mnie miła nie chce, a ja przez to płaczę.]

Słowa piosenki nieco wytrąciły Karola z dobrego nastroju. Zauważyła to Caroline i zaraz zapytała:

- Ty rozumiesz te wszystkie języki, powiedz mi, proszę, o kim oni śpiewają?

- O nas.

Teraz oboje udali się do swoich pokoików. Jednak nie mogli zasnąć, rozmyślali o tym, co wydarzyło się za dnia. Przed oczyma przewijały się im różne miejsca, ludzie, krajobrazy, cała podróż... i ta druga osoba leżąca zaraz za ścianą.

- Kim właściwie jestem i co chcę? – zastanawiał się Karol. - Do jakiego świata mi bliżej? Marzyłem, aby wrócić do swojej wioski, poznać kobietę zwyczajną, prostą, założyć rodzinę. A teraz ta guwernantka. Całkiem z innego świata. Czy to przypadek, że właśnie teraz ta mądra i piękna osoba stanęła na mojej drodze?

- Dlaczego wciąż myślę o tym przypadkowo napotkanym człowieku? – rozmyślała Caroline. - Imponuje mi i mam do niego dziwne zaufanie, a nie znam go nawet jednego całego dnia. Po co wozi z sobą ten wielki obraz? To oczywiste, jest na nim sportretowana jego żona, na pewno piękniejsza ode mnie! A ja, niemądra, ani męża, ani dzieci, a młodości odliczam ostanie dni. Guwernantka, w sam raz dla flirtu, nie poskarży się, nauczy i wyniańczy pańskie dzieci. I dalej w drogę, do kolejnego pracodawcy, jak pielgrzym.

Długo w noc, zatopieni w swoich karkołomnych myślach, oboje oczekiwali na sen. Gdy rano Karol zbudził się, wyraźnie poczuł płynące od pleców ciepło przytulonej do niego kobiety. Ostrożnie odwrócił się. Nikogo jednak przy nim nie było. Zwykły sen.

We Frydku

Po wielu godzinach jazdy, na wzgórzu pokazała się wielka strzelista budowla. Karol wyraźnie rozemocjonowany wykrzyknął:

- Dojeżdżamy do celu! Ten biały kościół na wzniesieniu to świątynia Nawiedzenia. Bywałem tu wiele razy, najpierw jako dziecko z moją ukochaną matką. Okoliczna ludność podąża tutaj co rok na odpust, nawet z dalekich miejsc. Za każdym razem jego widok to dla mnie wielkie przeżycie. Piękne miejsce. Pielgrzymkowe. Miasteczko Frydek. No i odtąd zaczyna się mój umiłowany kraj śląski, lecz ja mieszkam z jego drugiej strony – z radosnym entuzjazmem wyjawiał swojej towarzysze.

Caroline wystrzeliła z pytaniem:

- A czy ty, Korolu, jesteś bardzo religijny? Wiesz, bo ja wierzę, że Bóg nieprzypadkowo stawia nam na drodze życia innych ludzi...

Mężczyzna na te słowa nie zareagował. Krzyknął do woźnicy:

- Kieruj się ku temu kościołowi! Mam ważną sprawę do załatwienia... I chcę tam być sam!

Wyskoczył z powozu, dziarsko wydobył wielki obraz i zamaszystymi krokami pobiegł z nim w górę, po dwa stopnie naraz. Konsternacja kobiety była ekstremalna nie tylko dlatego, że nie odpowiedział na jej ostatnie pytanie, lecz też z powodu tajemniczego obrazu.

Nie było go znaczną chwilę, a ją zjadały emocje. Wtedy sobie o czymś przypomniała. Sięgnęła do torebki, wyjęła szkatułkę wielkości puderniczki, otworzyła ją i wypowiedziała w jej kierunku słowa niczym modlitwę:

- Mój ty Pielgrzymie święty, gdzie ty mnie prowadzisz? Powiedz, co mam robić.

W tym momencie ukazała się sylwetka Karola, a kiedy się zbliżył widać było, że wraca z radosną miną i jak gdyby nigdy nic, zakomunikował:

- W tym świętym miejscu zrobiłem coś, co sobie dawno zaplanowałem. Poświęciłem ten obraz, który jest dla mnie taki ważny. Dedykuję go wszystkim ludziom w mojej wiosce, którzy o mnie przez te lata nie zapomnieli. Aby ich chronił przed wszelką chorobą. A także wszystkim wędrującym nie tylko przez świat, ale i przez życie - jak ja, jak ty. Podziękowałem jeszcze, że spotkałem na tej drodze ciebie – oto moja odpowiedź.

Gwałtownym ruchem rozwinął obraz. Była tam namalowana postać pasterza z aureolą nad głową, na tle pięknego krajobrazu.

Caroline z wrażenia zastygła, nie wiedziała, co powiedzieć... Na obrazie nie było więc żadnej żony, ani innej kobiety. A o dziwo ktoś bardzo znajomy... jej święty!

Teraz ona pokazała szkatułkę, do której przed chwilą przemawiała.

- Wendelin? – Karol zapytał z niedowierzaniem. – Ty też masz ze sobą świętego Wendelina?

- To przecież patron podróży, a ja przez całe życie błąkam się podejmując pracę w różnych miejscach. Ksiądz, który wręczył mi go przed wyjazdem, powiedział, żeby mi sprzyjał w podróży oraz szczęśliwie prowadził przez życie i zawsze stawiał na mojej drodze ludzi dobrych.

Gdy emocje opadły, Caroline zrobiła konieczne podsumowanie. Po pierwsze, dziwnym trafem znalazła się w jednym pojeździe z obcym mężczyzną, po drugie, oboje są w tym samym wieku, noszą te same imiona, zaczynają nowy życiowy etap, na dodatek podróżują z tym samym świętym.

- Cóż za historia! Chyba zwariuję! – pomyślała.

Karol również zdawał się być w stanie podekscytowania, gdyż niespodziewanie pochylił się i ucałował Caroline w policzek. Czy były to przeprosiny za całe zamieszanie, czy zapowiedź czegoś więcej?

Żermanice

Powóz pokonywał już ostatnie mile do posiadłości Żermanice, nowego miejsca pracy francuskiej guwernantki Caroline. Za aleją starych lip pojawił się dwór. Karetą objechała ukwiecony klomb na środku dziedzińca i zatrzymała się przed schodami głównego budynku.

- Nareszcie! - Wykrzyknęła pani domu, która z ganka zobaczyła przyjezdnych. - Rad jestem widzieć panią i pana w dobrym nastroju – rzekł grzecznościowo właściciel majątku.

Przyjezdni przedstawili się, a Karol wyjaśnił powód swej obecności. Zaraz też zostały przywołane dzieci.

- Bonjour à vous deux. Vous êtes de jolis enfants. Quel est votre nom? [Dzień dobry wam obojgu. Ładne z was dzieciaki. Jak macie na imię?]

- Mon nom est Victoria. Et je m'appelle Piotr – odpowiedzieli po kolei.

- Wiktoria i Piotr, cóż za piękne imiona! Pierwszy egzamin zaliczony – powiedziała uśmiechnięta Caroline.

Nazajutrz w czasie śniadania wywiązała się rozmowa.

- Jako Francuzka nieźle pani przyswoiła nasz język, z nieznacznym tylko akcentem, jakże uroczy. A my tu każdy innym językiem rozmawiamy. Dzieci mówią po niemiecku, czesku i po polsku. No i muszą lepiej poznać francuski, chcemy je dobrze wykształcić – powiedziała pani domu. – Rekomendacje mojego kuzyna są pochlebne, chcielibyśmy się z panią związać na dłuższy czas.

- Bardzo miło mi to usłyszeć.

- A czymże się zajmował drogi pan przed wojskiem? – zapytał gospodarz.

- Pomagałem ojcu w dużym gospodarstwie. Jednocześnie zajmowałem się hodowlą ryb w Landeku. Stosowaliśmy tam nowoczesne sposoby hodowli.

- Wielce mnie pan zaskakujesz. Słyszałem o stawach w Landeku i Gołyszcu, działał tam mistrz rybacki Komory Cieszyńskiej, niejaki Dubisz, gdzie z dużymi sukcesami hodował karpia.

- Metodą przesadkową – uzupełnił Karol. W sąsiedniej Ligocie i Kaniowie działają bracia Gaschowie. Mają duże osiągnięcia w hodowli karpia. Głośno o nich w Europie.

- Zatem doskonale znasz pan te sprawy. Co za korzystny zbieg okoliczności!

Caroline przysłuchiwała się tej rozmowie i nabierała wobec Karola coraz większego podziwu.

Dziesięć lat minęło na poznawaniu dworu, majątku, dzieci, no i stawów. Przy wieczerzy pani domu oznajmiła:

- Ustaliliśmy z panią guwernantką wszystkie szczegóły i po okresie wstępnym zostanie u nas bezterminowo.

- A ja namawiam pana wojskowego, by zatrudnił się u nas do pracy jako zarządca stawów. Wiedza, doświadczenie plus wojskowa precyzja i dyscyplina. Czego chcieć więcej. Lecz pan się waha. Puścimy go do domu, do rodziny, bo to mu się po latach należy. W tym czasie ofertę przemyśli i wróci tu na posadę. A jak jeszcze spodoba mu się pani Caroline, to będziemy mieć podwójną satysfakcję – zaśmiał się, a wyglądało na to, że szczerze.

Pożegnanie z Żermanicami było łzawe. Ze strony Caroline.

- Nie wiem, dlaczego płaczę – powiedziała z zawstydzeniem. Chcę z tobą rozmawiać!

Usiedli na ławeczce pod kasztanem. Rozmowa trwała bardzo krótko. Nikt nie był jej świadkiem i nie wiadomo, o czym mówili i jak się pożegnali. Zaraz potem Karola podwieziono aż za Frydek. Stamtąd do domu miał już tylko 20 mil. Wystarczająco wiele czasu aby przemyśleć rozmowę z Caroline, a zwłaszcza jej ostatnie słowa:

- Rozstajemy się na krótko albo na zawsze! Święty Wendelin robił, co mógł... A teraz czeka, co zrobimy my. Co zrobisz ty... - słowa te drążyły wszystkie pokłady jego rozumu i emocji.

Rudzica

Nie trzeba być w Rudzicy, żeby zobaczyć jej najbardziej znaną wizytówkę, rudzicki kościół. Gdy będąc jeszcze daleko, zwrócisz oczy w odpowiednim kierunku, zobaczysz go niezawodnie, jak stoi wyniosły, strzelisty, skierowany iglicą smukłej wieży ku niebu. Takim Karol zobaczył go znowu po wielu latach. Stały, niezmienny. Nareszcie stanął w punkcie, skąd nie objął go już wzrokiem, pod samymi wielkimi drzwiami. Tak, najpierw tutaj, do ojca niebieskiego, następnie do domu, matki swojej i ojca ziemskiego. Nie zdążył nawet zdjąć plecaka, jak runął na kolana. Przypominał sobie różne chwile i rozliczne sytuacje. Ileż to razy kula rozpalona przeleciała koło jego głowy! Ilu rannych towarzyszy wyprowadził z pola walki, a ilu zostało bez życia. A teraz prosił Boga o roztropną radę, co ze swoją przyszłością począć... Nagle wstał, pokłonił się i miał poczucie, że wie już wszystko.

W domu

Gdy schodził z rudzickiego kopca w dół ku Grabówce, zobaczył to, o czym przez lata tęsknił i wiele razy widział w kolorowych snach. Wielkie, błyszczące tafle landeckich stawów odbijały ostatnie resztki światła, gdyż słońce już zaszło. Pod lasem, w wieczornym półmroku tonęły zarysy rodzinnego domu. Tak, jego pocziwej chałupy! Tu się urodził i tu mieszkają jego rodzice, brat, bliscy. Żeby ich po latach znowu zobaczyć, wystarczy podejść pod okienko i spojrzeć do wnętrza. Jakie to proste. Więc podchodzi... patrzy, oczom swoim nie wierzy, widzi dwie pochylone postacie siedzące przy stole... łuskają groch. Mama staruszka, ojciec staruszek. Trochę zmienieni upływem czasu, lecz tacy sami. W tej chwili zaszczekał pies. Ktoś wyszedł przed dom.

- Jest tam kto? – zabrzmiał znajomy, nieco drżący głos ojca.

Przybysz tak odpowiedział na jego pytanie:

- Niech bydzie pochwalóny Jezus Chrystus!

I uklęknął przed ojcem na kolana.

- Nale sumeryjo pańsko, nasz syn z wojska wrócił!

Ojciec też przyklęknął i obejmowali się jak dzieci.

Wieczorami schodzili się ludzie ze wsi, sąsiedzi, znajomi, rodzina, by powitać Karola, a on musiał opowiadać o wszystkim po kolei, jak we świecie, jak w wojsku, jak na wojnie, jak był ranny, jak to jest pięknie w tej cesarskiej stolicy Wiedniu, a jak w innych krajach. Potem pokazywał obraz i opowiadał o św. Wendelinie, jaki niezwykły jest ten jego święty. Następnie śpiewał żołnierskie piosenki w różnych językach, po czesku, po madziarsku, po niemiecku, po chorwacku i nie wiadomo w jakim jeszcze. Wszyscy słuchali go z otwartymi gębami. A mamula tylko chodziła między odmaryją, szpyrnikami a stołem, przynosiła, donosiła same maszkiety. Ojciec zaś, choć nigdy tego nie robił, zamówił miódówkę na imbirze i polewał. O wielu historiach Karol rozprawiał, lecz jedną trzymał do końca w tajemnicy... o napotkanej w drodze Karolinie.

W niedzielę, po niesporach, Karol założył mundur i udał się do proboszcza z ważną misją. Ksiądz ucieszył się z jego powrotu, wysłuchał z życzliwością i uwagą, wnikliwie obejrzał obraz, po czym przejętym głosem powiedział:

- Obraz kunsztowny, starannie wykonany. Austriaccy mistrzowie... ci to potrafią. Święty ten u nas nieznan, a nadzwyczaj pożądan. Zadałeś sobie dużo trudu, aby go tu sprowadzić. Gdy zaś chodzi o miejsce na obraz, to nie uwierzysz synu, lecz zdaje mi się, że właśnie zrozumiałem coś, czego dotąd nie pojmowałem. Jest taki zagajnik z północnej strony rudzickiej kępy, gdzie ludzie od czasu jakiegoś przychodzą do wypływającego stąd źródła, by leczyć się wodą, która okazuje się ozdrowieńczą. Zawsze zastanawiałem się, czyja moc kryje się za tym? Wygląda na to, że tym, kto tu działa, może być święty Wendelin. Obraz, który ze świata przyniosłeś, znajdzie się, gdzie powinien. Tam, przy źródle.

Prywatne sprawy Karola od tego momentu nabrały tempa. Któregoś dnia, po obiedzie, gdy wszyscy byli w domu, zwrócił się do rodziców i brata, i powiedział:

- Prawióm, że wszędzi dobrze, ale nejlepi dóma. I to je święto prowda. Ale czasym bywo i tak, że trzeja za chlebym jechać we świat. Wyboczcie, że zaś was opuszczym. Widać jest mi tak pisane. Pojadym do Żermanic na obiecanóm posade, a jak sie kapke urządzym, weznym z Karolinkóm ślub i zrobimy skrómne wiesieli. Obiecujym, że nie bydziecie wiela czasu czekać na zaproszyni. A ni ma to aż tak fest daleko, pół dnia kóniym jechać.

Majątek na Grabówce ojcowie przekazali młodszemu synowi, który się z tego bardzo ucieszył i poczuł doceniony. W ramach herbowizny Karol poprosił tylko o konia z bryczką. Za parę dni o poranku, Karol ze spakowanym kufrem, w którym był wojskowy mundur, pożegnał się z rodziną i wskoczył do nowej kolasy.

- Karol, nadyć poczkej! Cosik zech chciała przekozać twoi Karolce, a jest to pamiątka rodowo jeszcze po moji babce. Piyknie zdobiony krzyżyk, zrobióny u złotnika w Cieszynie. I jeszcze weź to noręcze kwiotków, piyrsze, kiere sóm na wiosne w naszym ogrodzie. Každóm niewiaste ucieszóm. I bydźcie se radzi.

- Dej skoro znać! – zawołał ojciec, zdjął kapelusz i długo nie nakładał go na głowę, aż pojazd całkiem zniknął w dali.

O stroju śląskim. Od oblykanio po paradowani

beranie i opis

Szorowani izby i sobotni kąpani

Niewiasty po całym tygodniu mozolnej roboty musiały się odświyzić przed włożynim niedzielnego stroju. Należało to do przyjmności i uchodziło niemal za rytuał.

We sobotni wieczór, jak już wszyjscy powieczerali, a baby pomyły gorce, we izbach i kuchni zaczynało się szorowani drzewianej delówki przy pomocy ryżoka. Mopów wtynczos do wiejskich sklepów jeszcze nie skludzili. Dziywki podkasowały plynty, wchodziły na boso, a pachotki przynosili po dwa ampry wody, jedyn ze zimnóm, a drugi ze wrzawóm. Do wody wciepło sie szare mydło, a jeszcze downi ług, ale to znóm ze słyszynio. Po wymiyrcholyniu ciepłego ze zimnym i mydłym woda już miała należyte grady. Klęczkigo, pochylóne, zwyrtając sie na czworuch, dziołuszki mozolnie szorowały deszczke za deszczkóm, lajśnie po lajśni, od okna po sóm próg. Jak kierymu pachotkowi udało się dźwiyrzy uchylic i zagłądnyć, tak mu oko

mógło zbieleć od widoku paniyn w takich pozach, od biołych tłóstych ud, bai zdarzić sie mógło, że kierej z lajbika cosik sie wysmykło. Jak już cało dłażka była wyszorano, ostatnio z nich wychodziła przez próg do siyni przody rzicióm i wtynczos był fertyk, po myciu.

Potym zaczynało sie kąpani, roz w tydniu sie rozumiy. Łazynek nie było. Kapali się ludzie w kuchyni, abo w waszkuchyni, jaki kumorze abo we rzeźni, kaj gławoczyli gowiydź. Tego dnia studziynny rympoń dycki był w robocie. Pachołki kręcili ze studnie wode i donoszali. Piekarok, piec, abo blacha poliły się pełnóm paróm, w przenośni i dosłownie. Wiadra, ampry, kible, balijki, lawory, zbónki, gorczki, putnie, grotki, szofliczki, wszystko to było w ruchu. Nejprzódzi sie kąpały bajtle, za nimi frelki. Po zmianie wody szustała sie gospodyni i inksze mężatki, na kóncu chłopcy, kierzi po polnych robotach nejbarzi byli domazani. Izdebka tynyła w oparach, przez co ponętnych sagulek nawet nie było widać. Jak wody stykało, pultały sie służące, czyli dziywki z pachołkami, ale brón Boże nie koedukacyjnie! Wode zmiyniało się nie po kaźdej osobie, a wedle zabarwiynio. - Opowiadali kiesi taki wic. Baba ryczy na chłopca, że łózko zmazane, a chłop sie tłómaczy: Kaźde rano myjym nogi, a płachta, fakt, zawsze zmazano, sóm nie wiym skirz czego!

Wykąpane i pachnące frelki i niewiasty zajmowały się przed zdradłym czosaniym, ale jo sie na tym nie znóm. Panny rozczosowały szumne, dłógi włosy, nikiere sięgały do pasa, żeby nie pedzieć aż po samóm rzić. Włosy, ozdoba kaźdej stwory, ciymne, jasne, ryszawe, proste, falowane, kręcónne we wele, ka jaki. W nocy włosy były rozpuszczónne żeby se dychały. – A propos. Brzidkich słów tukej ni ma, bo tak gynau sie godało.

Babski oblykani

W naszej rodzinie były trzi niewiasty, kiere sie we śląski strój ubiyrały i na koźdo, i w paradny, kościelny. Zawsze **nazywali go śląskim**, nawet nie cieszyńskim i nie śleskim, a o wałaskim nikt nawet nie słyszoł. Zresztóm taki heretycki kónfabulacje by tukej nie przesły. Kiery by tak pedzioł, murowane, żeby zafasowoł facke. Na mojóm starke Jadwiźke, matczynóm mame, nie godało się starka, bo była jeszcze młodo i szykownie se wygladała. Godało się babka, nie babcia, bo to by było za bardzo miastowe, zbyt mięki. A godka nasza była twardo, jak samo życi. Starkami były dwie prabaki, Maryjanna rodzóno w Zobrzegu za Austryje w roku 1864 i Katarzina rodzóno też cosik kole tego i też we Zobrzegu. Ta piyrzo była mało, o twarzy biołej jak papiór i zbladłych, niebieskich oczach. Ta drugo, matka od dziadka, była zaś wielko, jak hosztabina,

kapke ćmawo na gymbie za to granatowych oczach, gymbuli podłóźnej, ganc jako i dziadek, kiery był na nióm podany. Dwie stwory, a całkym inksze. Z babkóm, wszystkie trzi ubiyrały się po śląsku.

W niedziele rano babka ubiyrali się do kościoła. Dziadek wychodził wtynczos odbyć kónia Kasztana, piyknie oszerować, wysmyczyć kolase i wprzągnąć do pojazdu. Kapke to zetrwało, nie to co teraz szkyrtnyć kluczykym we stacyjce auta, pilotym odewrzić podnoszone garażowe dźwiyrzi i takowóz wrota. W sam raz, żeby babka mógli się prziszykować. Jo zaś jako mały bajtel, ciekawy świata, i wszystkigo, z izby kaj zech spowoł, przelecioł przez próg z gornuszkym mlyka i zawołał:

- Babka, a mogym się podziwać jak się bydziecie oblykać? Mi sie te wszystkie szotki tak fest podobajóm i je ich tak wiele, i każdy inkszo, kolorowo...

- Tóż, jak już musisz i je to do ciebie ciekawe tóż siadej, ale być grzeczny!

- Tóż ja, tóż bydym, jo przeca zawsze je grzeczny...

Siodołech na zydelku i maślatymi ślypiami „pumogoł” babce się ubiyrac. Byłech jeszcze snopłaty bajtel, na tela mały, że mi było wolno, ale na tela duży zech wszystko rozumioł i spamiyntoł. Babka już byli ubrani w koszule, jóm sie ubiyrac jeszcze we sobote zaraz po kómpieli i mieli z rana założone rosypoty, tóż ni można było pedzieć, że byli sago. Siadali w koszuli na łóżnicy, włosy poczosali, zaplytli binkocz z tyłu głowy w czubek, by lechcy smięścił się pod czepcym, pospinali hornodlami i zakłodali biolutki, wyszkróbióny czepiec. Na ciymie kładli dynko, z przodku korónkowy naczółek, zaś zauszni, tam, kaj nazwa pokazuje. Potym wstali z łóżka, podeszli do szranku, kiery do połowy był już odewrzity. Na jednych drzwiczkach przeciepany był letnik, a na półeczkach reszta ode stroju.

- Babka wziyna z półki kierysik lónt i podeszła ku zdrzodłu, żeby się lepi widzieć, a tu sie dźwiyrzi roztwiyrzajóm i wchodzi dziadek.

- Przyszłech sie spytać, jak żeś je daleko z ubiyraniym, bo kónia jużech wymyzył. Synek, a ty tak musisz kole tej babki kolyndować, a obzajtować, przeca sie ubiyro, ni ma cie gańba?

- A dyc nie godej, syneček jeszcze mały, nadyć wstyd móm przykryty, a ón sie wszystkim interesuje, to dobry znak, bo bydzie ś niego mądry człowiek, może na kogo ważnego sie wykieruje i jeszcze kie bydzie sztydyrowoł, może za jakigo inżyniera wysztajuje, rectora abo i samego wielebnego.

- Toś teraz ale pedziała, za wielebnego, może od razu za biskupa, jak sie mu niemoreśne rzeczy podobajóm.

- Być se poważny, zowistniku jedyn. Par kónia, żeby tej młodej jabłónki nie poobgryzoł.

Babka pozakłodali na koszule ze trzy spodnice, co jedna to szyrzo i każdóm w pasie wiele sił ściskali i wiązli, żeby być w pasie chudo, a kaj indzy szyroko, na góre biolutki kabotek, wyszkróbióny i wybiglowany. Zdjyna ze drzwiczek letnik, co na nióm czakoł i weszła do niego ode spodka, jak do pustego worka, naciągła do góry i powiesiła na oba ramiónka.

- Dźwiyrzi zaś zazgrzypiały i stanął w nich dziadek.

- I jak? Jeżeś gotowo, bo wszyscy już siedzóm na zicu i na cie czakajóm. W kościele downo oddzwónióne.

- Dobrze, żeś prziszel, bo mi pumozesz zepnyć żywotek, a dej pozór żebyś kierygo hoczka nie słómoł.

Dziadek stanął przed babkóm, mocka sie sniżył, bo był chłop wysoki i nie szło mu to snadnie, bo miał grube pazury aże go babka musiała oryczeć, wtynczos od razu zrobił co trzeja i jak należy.

- Doczkejcie jeszcze z pore minut, bo musimy sie jeszcze wyżurkować i hynyc na sie jakle.

- A, co, bez fortucha pojedziesz? – zapytał znerwióny dziadek.

- Dyc rychtyk, jeszcze fortuch, ale nie wiym kiery, tyn od kómpletu ze szatkóm, to wiadómo, ale ka jo go móóm?

- Dyc jezderkusie, tak to my nawet na amyn na tóm sume nie dojadymy – odezwól sie dziadek. Miyj stworo baczyni. Paterek zaś sie bydóm krziwo dziwać. Bez tyn czas juzech trzi cygartele zdążył wyfajczyć, a tyś dali sago.

Dziadek zabrół za rękę wnuczka, to znaczy mnie, co zech babke ślypiami we strój ubiyról i poszli my na plac do kolasy. Babka jakimsik cudym naszła tyn kómplet szatki z fortuchym na nejwyższejszej półce, hónym go założyła, przypasowała pod kolor przeposke i zawiązała na maszke. Szpyndlikym przebiła kołniyrz, żeby sie kabotek nie roślaził, naciepła jakle, a szatke wziyna do gorści, żeby sie już na wozie wyżurkować, tym więcyj, że ji kiero dziołcha przy tymu pumoże. Bo przeca żurkowani rzecz niełatwo. I tak my nareszcie do kościoła na sume dojechali. Farorz na szczęści sie kapke opozdoł i wszystko było do porządku. I po co ty nerwy?

Babka nosili tyn śląski strój od zawsze i tak dłógo, aże sie ji całkym zedrził. Wyściyłoł potym koszyk, w kierym rezydowoł młody piesek o imiyniu Bosik, „zanurzóny po uszy w regionalnej historii”. Moji dwie prababki jak już pomarły włożyli do tróny w takich śląskich strojach, jak opisane. Jednóm, Maryjanę, po 94 rokach życia zawiyźli na cmyntorz do Zobrzega, żeby boroka spoczyna kole swojigo Jyndrysa, bo taki zawsze miała życzyni, a drugóm pochowali w Ligocie pod takim piyknym oliwnym drzewkym, wtynczos to była rzadkość, teraz to nazywajóm tuja. Od tego czasu skóńczyła sie era śląskich strojów w naszej rodzinie. Moja mama nigdy takigo stroju już nie nosiła.

Poniższy opis dotyczy cieszyńskim stroju, szczegółowo, co, skąd i do czego. Lecz nie jest jednym z wielu na ten temat. Jak go czytam, to rozumiem o co chodzi. Nawet ja, jego autor. Nie myślę koszuli i halki, szatki i szotki, zopaski z przeposką i fortuchem, ani spodnicy ze spódnicą. Tekst zawiera wiele „fachowych” nazw i czynności. Z powodu tak dużego ich nagromadzenia nie będą one sygnalizowane ani kursywą, ani cudzysłowem, tak będzie lepiej. Niezrozumiałe słowa można znaleźć w Słowniku Stela.

STRÓJ KOBIECY

1. NAZWA: **strój śląski, strój cieszyński, strój śleski, Schleschka** (po niemiecku), **dolski** (ludności w dolinach)

2. Zastosowanie i znaczenie

Strój ludowy na ziemi cieszyńskiej był wprawdzie ubiorem powszechnym ale jego funkcje wykraczały poza potrzebę zwyczajnego przyodziewku. Towarzyszył kobiecie od wczesnej młodości, gdyż w stroje takie ubierane były już dziesięcioletnie dziewczynki, a potem podążał z nimi przez całe życie. W domu, czyli po chałpie, na każdą, bez tydzień, chodzono w codziennej wersji sukni zwanej ladaco, gdyż uszytej z przechodzonej starej sukni, natomiast w sytuacjach oficjalnych, w święta i na różnych uroczystościach kobiety przywdziewały strój „kościelny”. W takim chodziło się zarówno do kościoła, jak i do urzędu załatwić jakąś sprawę, ale też na uroczystości, festyny, bale, czy do gospody na muzykę, na wesela, spotkania rodzinne czyli gościny. Wtedy zakładano nejszumniejsze, paradne szotki (nie szatki, bo to chusty). Poczetne miejsce strój zajmował w kościele ewangelickim, gdzie dziewczyny otrzymywały swój pierwszy elegancki strój na uroczystość konfirmacji. Jednakże w niektórych miejscach zachodniej części Śląska Cieszyńskiego zakładały go także dziewczynki do I komunii św. u katolików. Z całą pewnością ważnym momentem był dzień ślubu, gdyż kobieta ludowy strój zakładała również wtedy, w najpiękniejszym z możliwych wariantach, a „młoduchę” wyróżniał żywotek z czarnego (!) aksamitu i obowiązkowy fortuch (zopaska) z białego albo bardzo jasnego kremowego, tudzież ecru, delikatnego jedwabiu oraz specjalne ustrojenie włosów z różnymi elementami i ozdobami koloru białego, np. woskowymi kwiatami z łukiem pereł pośrodku, przyozdobionymi mirtem i rozmarynem. Córy bogatszych siedlonek jako część herbowizny, w ramach ślubnej wyprawy, zwanej gdzieniedzie wybawą otrzymywały nawet 7 kompletów cieszyńskich sukni!

Zamężna kobieta strój zakładała już rano po przebudzeniu. Wstając z łóżka zaczynała od uczesania się i założenia czepca, bo bez niego nie mogła wyjść poza dom, czy zagrodę, gdyż pozbawiłaby się swojego społecznego statusu. Strój był użytkowany w codzienności, jak również był świadkiem przełomowych i ważnych momentów w życiu człowieka, aż do przysłowiowej grobowej deski. W strój bowiem ubierano także zmarłych do trumny.

Mówiąc o formie, kształcie, fasonie, stroju cieszyńskiego, a także powszechności stosowania, nie możemy nie uwzględnić czasu i miejsca, w którym był użytkowany. Pierwotnie zakładany był bardzo często, niemal codziennie, a w połowie XX wieku już tylko na okazje. Jak wszystko w tym świecie, przechodził ewolucję, był podatny na różne trendy i mody, dość sporo działało się w zmianach jego detali, natomiast ogólna, zasadnicza jego forma zachowała na przestrzeni około dwustu ostatnich lat charakterystyczną i rozpoznawalną postać. Poszczególne egzemplarze nieco inne były w użytkowaniu bogatych mieszczek, żon ludzi na stanowiskach i piastujących wysokie funkcje, ale też paniczek z miasta mających się za elegantki, bogatych siedlonek na wsi, czy gaździnek beskidzkich wsi, które z czasem przechodziły na ten strój ze swych prostych ubożuchnych góralskich odzień, wreszcie

pozostałych zwyczajnych kobiet wiejskich, zwłaszcza tych, którym się w chałpie nie przelewało, zgoła ubogich.

Kompletny strój zlecało się do wykonania prywatnym zakładom krawieckim, które się w tym specjalizowały, najlepiej w mieście Cieszynie, Bielsku, Skoczowie, choć zdolniejsze wiejskie szwoczki także posiadały umiejętność uszycia niezłe prezentującego się stroju, a niektóre z tego wręcz zasłynęły. Poszczególne elementy i detale nabywało się w różnych miejscach, które w okolicy były z tego znane. Wełniany materiał na suknie, żywotki, jakle zwany sztofem powinien być pochodzić z renomowanych zakładów włókienniczych z Bielska, był nim czasem kamgarn, czesankowa przędza. Tkaniny do szycia zaposek i szatek także sprowadzano z bielskich zakładów. Zawsze utrzymane były, w stonowanej gamie kolorystycznej. Adamaszki i wstążki sprowadzano z małych wytwórni w Czechach i Austrii. Kabotki, rękawy w kabotkach oraz naczółki w czepcach były wyposażane w klockowe koronki ręcznie wykonywane przez mistrzynie sztuki koronkarskiej. Jednak to żywotki były prawdziwym arcydziełem sztuki hafciarskiej więc musiały być zlecane do wykonania lokalnym mistrzyniom, jaką na przykład w Ligocie była Stefania Dziadek. Zamożniejsze kobiety przyozdabiały strój wyrobami ze szlachetnych metali, w użyciu były więc dekoracyjne pasy, orpanty i napierśniki. Zamawiały je u złotników, a ci od wieków najlepsi byli w Cieszynie. Obuwie w postaci czarnych trzewików na słupkowych obcasach z pakiem, zlecano mistrzom szewskim, a później coraz częściej kupowano w sklepach na miarę. Czasem sprowadzano z Czech. Nie wypadało chodzić z pustymi rękami, dlatego kobiety nosiły trapezowego kształtu taszki (torebki), w których powinna być się zmieścić książka do nabożeństwa, sznuptychla, grzebień i jaki grajcar.

3. Poranne wstawanie, ubieranie, zakładanie stroju i jego dalszy opis

Gdybym był „dzieweczką ze Śląska” robiłbym to wedle zasady: Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje”... przeważnie ciężką robotę, czasem piękny ubiór.

Spało się w przylegającej do ciała **koszuli** płóciennej, zwanej gdzieniegdzie ciasnochą (słowo i część garderoby występuje również w ubiorze Górali śląskich, lecz jako zapożyczenie z cieszyńskiego, nie na odwrót! (jak to jest w niektórych słownikach), niegdyś jednoramiączkową. Zmieniało ją wraz z całym przeróplowanym i wyszustanym, a potem wyszkróbionym prodłem. W razie przepocenia przy pracy, a jakże, koszule zmieniało częściej. Noszenie bielizny dolnej początkowo nie było zalecane, więc i niestosowane. Później, wbrew ostrzeżeniom doktorów zaczęto zakładać **rosyπόły**, długie do kolan majtki otwarte, z wycięciem w środku, a raczej składające się z dwóch połów górą zszytych, potępiane przez lekarzy jako szczególnie niezdrowe! Ale kobiety postawiły na swoim, aż doszło do stringów, które wreszcie są zdrowe (ale to nie w tym stroju). Poranne wstawanie zaczynało się na ogół dość wcześnie, latem o godzinie szóstej, zimą i w niedzielę godzinę później. Jeżeli trzeba było wyprawić chłopca do roboty, to i o piątej albo nawet czwartej. Tak samo jak się szło lub jechało na targ. Z wyra wstawało się prawą nogą, nigdy lewą. Po rozczesaniu włosów przed zdradłem, panny plotły warkoczek czyli binkocz (binkosz) w dyrdol i wiązały bandlę w maszkę. Letnią porą wychodziły na pole z odkrytą głową, a długi pleciony binkocz opadał im na plecy, ozdobiony kolorową splotką, wstążką związaną na maszkę. Zimową porą otulały się hacką, którą zsuwały na ramiona po wejściu do izby.

Kobiety zamężne na głowę zakładały czepiec. Przedtem z tyłu głowy skręcały binkocz z niedługich włosów w czep, zwany też kujónem, by łatwiej zmieścić się pod czepcem i spinały hornodłami (hernadłami). Następnie nakładały na ciemię denko **czepca**, poprawiały **naczótek**, by ładnie leżał, nie za wysoko ale też nie mógł schodzić do oczu, zaś **zauszniaki** oczywiście za uszy. Naczółki mogły być heklowane szydełkiem, sztrykowane na drutach, upiększone drobnymi motywami jak gwiazdki, wężyki, listki. Wykonywano je także z fabrycznego tiulu, zwanego grunszpicem, pokrywając dodatkowo misternym haftem. Pierwszy w życiu czepiec panny otrzymywały o północy pierwszego dnia wesela podczas obrzędu oczepin. Według niektórych źródeł czepiec zakładały także zowitki, czyli panny z dzieckiem, jest to jednak mało prawdopodobne, choćby właśnie z tego względu, że zakładano go pierwszy raz w czasie oczepin. Pewnym jest, że zowitki nie mogły nosić warkocza, tylko krótki czubek, binkocz pod szatką.

Dorośla kobieta mogła nałożyć jeszcze **halkę**, zwaną czasem **wenecką**. Koszula i halka, naturalnie stanowiły niewidoczną oku bieliznę. W tym, co nazywamy tu halką panuje pewna „niezbieżność zeznań”. Niektóre panie nie potwierdzają takiej części garderoby w dawniejszym czasie. Być może stanowiły dodatkową warstwę odzieży bogatych właścicielek, nakładaną na koszulę, a być może halki zamieniły płócienne koszule w nieco późniejszym czasie. Były równolegle używane przez różne użytkowniczkę stroju. Poniżej pasa obowiązywała jeszcze halka dolna, czyli **spodnica** (nie mylić ze spódnicą, o której za chwilę). Spodnice szyto z gradlowego płótna albo ćwiklichu, sięgały one do połowy łydek. Były obficie marszczone oraz fałdowane. Dół spodnicy zawierał koronkę z haftem angielskim lub Richelieu. W święta zakładano nawet kilka spodnic, co poszerzało kobietę w biodrach, czyniąc ją jeszcze bardziej kobiecą.

Wracamy do *górnjej części ubioru*. - W dalszej kolejności oblykania kobiety zakładały na bieliznę **kabotek**, gdzieśgdzie zwany **koszułką** (przez „ł”). Funkcjonalnie stanowił część garderoby, który można by nazwać współcześnie koszulą lub bluzką, uszytego z białego materiału. Był dość krótki, sięgający nieco tylko poniżej pasa. Wykonany z cienkiego płótna lub batystu. Jako element garderoby widocznej dla oczu był ozdobnie wyszywany, miejscami haftowany, czasem z koronkami lub marszczeniem. Rękawy kabotka stanowiły również ważny element, sięgały ręki tuż powyżej łokci. Górną część stanowiła bufka, a dolna przeciwnie, była mocno zwężana, zapinana na szpyndlik (zapinkę), mosiężną, miedzianą lub srebrną.

Kolejnym ubieranym elementem był **żywotek** (rodzaj bogatego gorsetu) – wizytówka stroju i jej właścicielki. Stanowił najokazalszy jego element. Wykonany z dobrej jakości aksamitu i bardzo bogato zdobiony. Stanowił prawdziwą arenę dla popisów jego twórczyń, dziełem sztuki hafciarskiej i zdobniczej. Haft pierwotnie był wykonywany srebrną i złotą nicią z dodatkiem nitki kolorowej, aksamitnej lub atlasowej. Żywotki bywały z aksamitu różnych barw, od czarnego, poprzez brązowe, bordowe, granatowe. Fioletowy przeznaczony był dla wdów podczas tzw. pokory (żałoby). Składał się ze strony przedniej, która była wyjątkowo niska, sięgała od spodu biustu do pasa, o wysokości 15 do 30 cm. Tylną, opleckową część żywotka była znacznie wyższa, dzieliła się na dwa symetryczne pola zdobnicze z charakterystycznym szpicem w środku, zwanym szczytkiem. Owe pola, zwane bortami lamowana złotem i srebrem. Późniejsze, tj. międzywojenne żywotki haftowano już nie nićmi

metali szlachetnych, a jedwabnymi, z koralikami, cekinami, błyszczącą lacetą. Stosowane wzorki także zmieniały się z czasem, najpierw to były dwa symetryczne kwiatki, potem trzy bukiety lub wianuszki, później motywy roślinne, kwiaty, kłosy zboża, chabry, zielone, srebrne, czerwone, raczej drobne, rzadziej wzory geometryczne, linearne, czy zygzaki. Do żywotka przymocowane były hoczki, metalowe zapinki z gónzewkami (ogniwami) do przewlekania srebrnego łańcuszka, którym obie połowy były po jego włożeniu spinane.

Dolna część ubioru. - Była nią, jak można się spodziewać **spódnica** - fałdowana, ciemnego koloru, o różnych odcieniach: modrym, fioletowym, zielonym. Na dole spódnica zakończona była błyszczącą lamówką z jedwabiu lub tafty, zwaną **galónką** lub lymką, o szerokości 6-12 cm. Lymka zabezpieczała dół sukni przed uszkodzeniami od ziemi, drogi, butów.

Fartuch zwany zopaską, w czechowickich stronach, ale też wielu innych częściach cieszyńskiego zwany był **fortuchem**. Przód spódnicy, mimo, że wystarczająco okazały zakrywany był fortuchem w celach głównie ochronnych. Miało to swoje uzasadnienie w użytkowaniu stroju na koźdo, natomiast z czasem w strojach odświętnych zaczął stopniowo odgrywać dodatkową rolę ozdobną. Na ogół zopaska w wersji wyjściowej była górą starannie marszczona, wykonana z tafty lub majestatycznego, mieniącego się adamaszku, zwiewnego szyfonu, albo też mieniącego się dwoma odcieniami atłasu, gładkiego, w stonowanej gamie kolorystycznej. Posiadały wzory roślinne, abstrakcyjne, w podłużne prążki itp. Znajdując się z przodu, jej efektowność w dużym stopniu wpływała na wizerunek całego stroju. Zopaska była nieco dłuższa od sukni lub równa.

Miejsce łączenia się spódnicy, zopaski i żywotka, czyli talia przepasana była barwną **przeposką** o barwach jasnych, nieraz nawet jaskrawych, wstęgą z kokardą, czyli maszką. Mówiło się wiązać przeposkę na maszkę albo na bindel. Kobiety bogatsze nosiły w tym miejscu pas filigranowy z matalu szlachetnego. Była to jednak inwestycja kosztowna, dlatego nie każdą panią było na to stać.

Wierzchnią górną część garderoby, w przejściowej porze roku uzupełniała jeszcze **jakla** (jakliczka), która była rodzajem żakietu. Początkowo miała formę krótkiego do pasa szpencera, potem znacznie od niego dłuższa, górą luźniejsza, zwężana w talii i ponownie rozszerzana w biodrach. Szyta na ogół z czarnej bielskiej tkaniny wełnianej w dobrym gatunku. W międzywojniu i po nim jakla posiadała już kilka wersji kolorystycznych, każda w ciemnych odcieniach. Kunsztu dodawał wykładany kołnierz, rozpinane poły z efektownymi kneflikami i dekoracyjne hafty. W niektórych rejonach w chłodne, czy zgoła zimowe dni, w wersji ocieplanej owczym barankiem występowały **barankule**, które być może były rodzajem zimowej jakli.

Przed założeniem ubioru kobiety, jak już wiemy, porządkowały włosy, formowały fryzurę, poprawiały czepiec. Po założeniu stroju powracały do tej najważniejszej części ciała, przeglądając się dokładnie przed zdradłem. W zależności od pory roku, pogody, miejsca i okoliczności, nakładały jeszcze odpowiednie nakrycie głowy. Była nią chusta zwana **szatką**, na ogół jedwabna, stąd zwaną **jydbownicą**, choć czasem tak nazywano dodatkową drugą chustę. Tak, można było nosić dwie chusty, jedna na drugiej. Kolorystycznie szatkę

dopasowywano do barwy zopaski, najczęściej stanowił on komplet z tego samego materiału, kupowany z metra w sklepie bławatnym lub fabrycznie gotowy komplet. Materiałem był piękny adamaszek lub żakardowy jedwab z ornamentami kwiatów lub liści w kolorach, które przenikały się po obu stronach materii oraz mieniły.

Nakrycie głowy, szatka, wiązanie na żurek, żurkowanie, na pidło. - Mężatki na czepiec nakładały chustę, zwaną **szatką**. Najbardziej popularnymi były szatki w odcieniach złota, srebra, ciemnej zieleni, brązu, wiśni, granatu, fioletu. Nigdy nie były barw jaskrawych, przeciwnie, mocno stonowane. Starsze kobiety używały chust płóciennych zwanych szatkami sprawionymi lub chustami spuszcзовymi. Posiadać szumną szatkę to wiele, lecz nie wszystko. Należało ją jeszcze na głowę założyć. Nie bezpośrednio, a na czepiec. A to już nie takie proste zadanie. Kobiety chustę wiązały **na żurek** z tyłu głowy, czyli na pidło, mówiono zatem, że są **wyżurkowane**. Polegało to na tym, że przednie dwa rogi zakładano ponad uszami ku tyłowi głowy i wiązano nad opadającymi na plecy rogami na dwa węzły ze sterczącymi na boki końcami. Nie każda z kobiet umiała tę czynność wykonać perfekcyjnie. Starsze kobiety często odstępowały od tego i wiązały chusty pod brodą, ale na dwa węzły, z końcami mocno sterczącymi na boki.

Wieczorową porą i w czasie chłódów chusta nie chroniła dostatecznie głowy. W takich przypadkach dodatkowo zarzucano na głowę i górę pleców dużych rozmiarów narzutę zwaną **odzewaczką**. Była wykonana z cienkiego materiału, z cienkiej wełny, łączonej z jedwabiem. Panny zarzucały ją wprost na włosy. Od późnej jesieni, przez zimę i pół wiosny używano cieplejszej jej wersji, zwanej **hacką**. Spełniała funkcję pledu. Wełniane hacki występowały w kolorze jasnoszarym, jasobrazowym, czasem kraciaste, a starsze użytkowniczki preferowały barwy ciemnoszare, ciemnogrnatowe, nawet czarne. Hacki często wykańczano frędzlami.

Bizuteria. Ekskluzywnym uzupełnieniem stroju kobiety jest zawsze **bizuteria**. U Cieszyńianek stanowiły ją pod szyją **łańcuszki**, **napierśniki** (napierśnice), **orpanty**, wykonane z metali szlachetnych, a w talii dekoracyjne **pasy** filigranowe z odlewanego i tłoczonego srebra, często złożonego, pasy z łańcuszków. Były zamawiane u złotników, a najsłynniejsi, nie od dziesiątków, a setek lat znajdowali się w Cieszynie, gdzie było kilka słynnych pracowni. Podobno niektóre elementy, w różnym okresie czasu, sprowadzano z Wiednia oraz Wenecji.

Obuwie cieszyńskich kobiet początkowo stanowiły cholewy tuż powyżej kostek, początkowo sznurowane, później na stopy nakładano lekkie czarne **trzewiki**, na słupkowych obcasach z pakiem, mocującym paskiem, w górnej części. Latem można było założyć także lekkie **szutki** (nie mylić z szutką, góralska spódnicą).

Komplet uzupełniały trapezowe **taszki** (torebki) na podręczne niezbędne przedmioty.

4. Elementy stroju kobiecego, dodatki, nazwy czynności, w formie **słowniczka alfabetycznego**

Przyda się zapewne mieć w jednym miejscu spis nazw wszystkich elementów i dodatków stroju, by w razie potrzeby szybko po nie sięgnąć. Ich znaczenie i przeznaczenie

poznamy z opisów i kontekstów tego rozdziału, a część znajdziemy w Słowniku STELA. A nazywają się tak:

bindla, binkocz (binkosz), borty, bufka, cekiny, czepiec, czepiyni, czop (czep, czubek), denko, dyrdol, galónka, gónżewki, hacka, halka wenecka, hoczki, hornodle (hernadle), jakla, (jakliczka), jydbownica, kabotek, koszułka, szpyndlik, koszula, kujón, lacety, ladaco, lańcuszek, letnik, lymka, maszka, na bindel, na żurek, naczótek, napierśnik (napierśnica), odziwaczka, orpant, pas, pidło, przedniczka, przeposka, rosypoły, splatka, spodnica, strój cieszyński, strój kościelny, strój na każdó, strój po chałpie, strój śląski, strój śleski, szczytek, szatka, szpencer, szutki, taszka, trzewiki, wyżurkowano, zapinka, zauszniki, zopaska, żurkowani, żywotek



Ligota 1959
Kobieta w stroju cieszyńskim. Chustka wiązana na żurek.

37. Elżbieta
Grygierczyk; Stefania
Dziadek, chusta
żurkowana,
własnoręcznie
haftowany żywotek
i pas, 1959, Ligota

Opis kobiecego stroju cieszyńskiego zabrał wiele pisania, a możnaby ograniczyć się do jego ogólnej prezentacji mówiąc o **sukni cieszyńskiej**. A to nic innego jak **żywotek połączony na stałe**, czyli **zszyty ze spódnicą**. Innymi słowy, to długa fałdowana spódnica i przszyty do niej gorset zwany żywotkiem. Na sukni XIX-wiecznej trzeba było przygotować niemało materiału, gdyż szyte były z 6 do 8 szerokości dobrego gatunku sztyfu. W kolejnych stuleciach ilość materiału na strój stale zmniejszono. Suknię w wersji lekkiej, przewiewnej, przeznaczonej na ciepłą porę roku, potocznie nazywano **letnikiem**. Nierzadko jednak używano tej nazwy w odniesieniu do sukni wielosezonowej.

W jednej z najlepszych publikacji dotyczących stroju cieszyńskiego Barbary Bazieli⁵, znalazł się akcent z naszego rejonu czechowickiego, dokładnie z Ligoty, na czterech fotografiach ujęta jest Stefania Dziadek, znana hafciarka żywotków śląskich (zdjęcie).

Rekordzistką w ilości posiadania sukien stroju cieszyńskiego w Ligocie okazała się p. Janina Orawiec z domu Willmann, która posiada 4 komplety, wszystkie w bardzo dobrym stanie.



38. Oplecki stroju śląskiego Janiny Orawiec, Ligota

⁵ B. Bazieli, *Atlas Polskich Strojów Ludowych, Strój cieszyński*, cz. III, z. 6, Wrocław 2006, s. 80, 87.



39. Przody sukni stroju śląskiego Janiny Orawiec, Ligota



40. Panny w strojach cieszyńskich, Joanna Gazda, Małgorzata Jonkisz, Ligota 2007

5. Pożyteczne uwagi:

- Kabotek powinien być wykrochmalony, a rękawy bufiaste.
- Nie zakłada się koralików, kolczyków, bransolety, zegarka na rękę, który nosi się na łańcuszku za przedniczką żywotka.
- Szpyndlik, czyli spinka pod szyją powinien być srebrny, odlewany, wytłaczany

lub filigranowy, kształtu owalnego, kolistego lub sercowatego. Może być z motywem kwiatu cieszyńnianki.

- Lymieczonek rękawa powinien być dostosowany do grubości ramienia nad łokciem, by rękaw nie opadał.
- Dolny brzeg fartucha powinien pokrywać się z dolnym brzegiem sukni lub być minimalnie dłuższy.
- Przeposka najładniej prezentuje się, gdy sięga dolnego brzegu fartucha.
- Srebrny lub pozłacany pas nie jest wymaganą częścią stroju.
Zakłada się go na przeposkę. Nie należy nosić pasów z cekinami, są one świadectwem złego gustu.
- Panny powinny mieć włosy gładko zaczesane do tyłu, splecione w jeden warkocz ze wstążką w kolorze przeposki.
- Obuwie damskie, to czarna trzewiki na średnim obcasie i zapinane z przodu na pasek (pak).

Jeżeli wymieniałem i opisałem te wszystkie nazwy elementów stroju w którymś miejscu nietrafnie lub niewłaściwie, to znaczy że nie jestem „dzieweczką ze Śląska”, ani nawet kobietą, nigdy nie nosiłem podobnego ubioru i jestem zwykłym facetem żyjącym w XX i XXI wieku. I to akurat będzie prawda.

STRÓJ MĘSKI

6. **Strój męski** mieszczan i zamożnych chłopów na Śląsku Cieszyńskim w swej zasadniczej formie nie wykraczał poza podobne, występujące w wielu miejscach i krajach, w lokalnych nieznacznych odmianach, na terenach całej środkowej i zachodniej Europy. W jego zestaw wchodziły odpowiedniki elementów ubioru, jak: kamizelka, marynarka, koszula, spodnie, kurtka, płaszcz. Elementy zewnętrzne stroju, prócz płaszcza, uszyte były z tego samego wełnianego materiału. Nakryciem głowy był filcowy kapelusz, a obuwie wysokie, skórzane buty.

Elementy stroju męskiego w formie słowniczka alfabetycznego:

bandla (wstążka), bindel (krawat, węzeł), bruczek, buty poloki, formetla, galaty (galoty), kamizol (kamizola), kapelusz, knefle (knefliki), koszula, kragiel, obujek, płaszcz, szpencer, westa, zegarek kieszonkowy

Z powodu dużych różnic w opisach poszczególnych autorów oraz różnicach pomiędzy strojami historycznymi oraz współcześnie odtworzonymi, nie udało mi się z całą pewnością ustalić nazw stroju męskiego, zwłaszcza górnej części garderoby, kamizola, szpencera, westy. Różnice występują nawet w opisie kapelusza, w większości tekstów mowa jest o małym rondzie, a na dostępnych fotografiach widać ronda duże. Akurat w tej kwestii drugi wariant

wyduje się właściwszy, zarazem jest o dość wysokiej główce. Z czasem kapelusze stawały się coraz mniejsze. Poniższy opis jest bardziej prawdopodobny dla starszej odmiany stroju męskiego:

- **bruclek** (rodzaj kamizelki) bez rękawów, wykonany z materiału fabrycznego w kolorze ciemnoniebieskim, szaroniebieskim lub granatowym, z jednorzędowymi metalowymi kneflami, zapięty wysoko pod szyją
- **kamizol** (rodzaj marynarki) wykonany z sukna wełnianego o kolorze ciemnoniebieskim, szaroniebieskim lub granatowym, z dwurzędowymi metalowymi kneflami, zapięty wysoko pod szyją
- biała **koszula**, czasem w drobne prążki, ze stojącym **obujkiem, kragiem** (kołnierzem), który czasami przyjmował formę dołączanej sztywnej atrapy, nazywanej **formetlą**
- pod szyją wiązano czerwoną jedwabną **bandlę** (wstążkę), w wersji żałobnej czarną
- w czasie chłódów zakładano albo krótki kaftan, tj. **szpencer**, dający swobodę ruchów, np. przy jeździe wierzchem lub dłuższą **westę** (kurtkę) o szaroniebieskim, ciemnogniatowym, czarnym lub ciemnowiśniowym kolorze; oba zestawy cechowały się długimi rękawami i małym wykładanym kołnierzem lub zgoła jego brakiem, spięte srebrnym łańcuszkiem, z ozdobnymi metalowymi guzikami w dwóch rzędach
- **płaszcz** (peleryna), być może bez rękawów, zarzucany na ramiona, podbity podszewką w kolorową kratę
- wysokie skórzane, czarnego koloru **buty poloki**
- **galaty, galoty** - spodnie długie, dość wąskie, wchodzące do cholew, ciemnoniebieskie, szaroniebieskie lub granatowe, dopasowane barwą do kamizola
- na głowie noszono **kapelusz** z dość wysokim rondem i dość wysokiej, wgniezionej do środka główce, wykonany z dobrej jakości filcu; sławą w całym regionie cieszyły się kapelusze skoczowskie odznaczające się jakością, trwałością i estetyką; kolorystyka sprowadzała się do barw: czarny, granatowy, brązowy, zielony; pomiędzy rondem, a główką kapelusz na ogół posiadał szarfę w postaci błyszczącej tasiemki, w wariantach starszych kapelusza z przodu mogła być jeszcze metalowa klamra na okalającej szarfie
- **zegarek kieszonkowy** na srebrnym łańcuszku.

W Żabim Kraju⁶. Było, minęło, dawne wierzenia i przesady (Mitologia Żabiego Kraju wg Zdzisława Nowrotka)

Żabi Kraj. W krainie, którą wykreował **pisarz Ludwik Kobiela** urodzony w Zarzeczcu w książce o tym samym tytule, aż roilo się od baśniowych mitycznych postaci, zwanych stworokami. W barzołach, padołach, stowkach i rzecznych plosach grasowały utopce, a mómiki i świytłoki wodziły zbłąkanych po manowcach. W dudławych wierzbach wokół wsi czały się beboki i diaski. Nocą mory, marchy i nocznice męczyły śpiących. Zaś w lesie czaowały wampyrze, wypióry i micheche. Zaś na leśnych łęgach przed wschodem słońca czutory i hyrpy zbierały ziele do czarowania. Ale były także duszki dobre i opiekuńcze, bożatka i lale, które, broniły domowego miru, przynosiły pomyślność domowi i jego mieszkańcom⁷.

Na tych terenach przyszło żyć mieszkańcom tych okolic, także czechowiczom, dziedziczom, ligocanom, zabrżeżanom, zarzeczanom i innym. Położone są w naturalnym obniżeniu rzeki Wisły, z którą dodatkowo łączą się w tym miejscu wszystkie rzeki północnych stoków Beskidu Śląskiego, Hłownica, Jasienica, Wapienica, Białka. Od dawien dawna istniały tu rozlewiska i naturalne stawy, a od średniowiecza budowano kolejne przeliczne stawy rybne⁸. Z tego powodu okolica sprawiała wrażenie bezkresnej krainy wód, co znakomicie widać na mapach Nigrina Jonasa z 1724 roku, Johanna W. Wielanda z 1736 r., a najlepiej na mapie Herzogtum Ober-Schlesien z 1763 roku⁹. Jedno z barwnych opowiadań pt. *Jegier L. Kobiela* umiejscowił na Padjaziu, dawnej dzielnicy **Zabrzeża**. Pisali o tej krainie najśtynniejsi na Śląsku pisarze, jak **Gustaw Morcinek**, pracujący także jako nauczyciel w szkole w **Ligocie**. Owocem tego pobytu była opowieść o starym młynie Pumperli na **Zbijowie** (w rzeczywistości młynie Polokowym), przedstawiona w *Historii o dzielnym młynarczyku i utopcu Matysku*. Zasługi na polu zbierania i spisywania podań, opowieści ludowych i bajek z tych terenów wniosła prof. **Wiesława Korzeniowska**. W opublikowanym zbiorze *O ukrytych skarbach, śpiącym wojsku i kochance diabła*, wydanym w 1995 roku, znajduje się kilka bezcennych

⁶ Poniższy tekst stanowi podsumowanie podobnego pod względem tematycznym materiału z kilku publikacji autora, z uzupełnieniami, rozwinięciem i zmianami.

⁷ Z. Nowrotek, *Zarzeczce, Zarzeczce...*, Mnich 2022, s.7.

⁸ Od środkowych Moraw, poprzez południowy Śląsk od Cierlicka i Żermanic, okolic Cieszyna i Skoczowa, Gołysza, Landeka, Ligoty i Czechowic, Kaniowa, aż po Oświęcim i Zator - to jeszcze dziś „zagłębie” złotego karpia. Wiele miejscowości tego rejonu było zaangażowanych gospodarczo w hodowlę ryb. W wyrafinowane techniki hodowli karpia zaangażowali się sprowadzeni w średniowieczu Cystersi, a także Jan Dubravius (1486-1553) z Ołomuńca, w czasach późniejszych Tomasz Dubisz, Adolf Gasch. Pierwszą informację o istnieniu stawów w Ligocie otrzymujemy z Urbarza Bielskiego z 1571 roku, w którym wymieniono aż 30 stawów z nazwy: Hałcnowski, Myszkowski, Kasperowski, Zapranowski, Wenclowski, Maciejowski, Klemensowski, Petrkowski, drugi Petrkowski, Czernkowski, mały Czernkowski, Oskowski, Bartkowski, Średni Bartkowski, Górny Bartkowski, Szafranowski, Jedlak, Duży Jedlak, Brzeziny, dwa stawy Małe, Nad Młynem, Nad poprzednim, Jedlazeł, dwa stawy Pod Jedlazkiem, Mały Jedlazeł, Stawek, Nowy, Wielki. Ten bardzo cenny wykaz przekonuje nas o istnieniu rozbudowanej gospodarki stawowej i rybnej już w dawnych wiekach. Ilość terenów przeznaczonych pod hodowlę na przykładzie Ligoty przyprawia o zawrót głowy. W XVII wieku ziemie uprawne stanowiły tylko 10% areału wsi, a stawy aż 35%. Pozostałe, to lasy.

⁹ Z. Nowrotek, *Ligota nieznana*, Ligota 2019, s. 26, 29, 37.

zapisów dotyczących m. in. Bronowa, Ligoty, Międzyrzecza, Czechowic, Łownicy, Landeka, Strumienia, Zabrzega, Zarzecza.

Krajobraz i atmosfera świata wód, zewsząd otaczających ludzkie siedliska, często tonących w fantazyjnych fatamorganach mgieł, oparów, wpływały na wyobraźnię jego mieszkańców. Na przestrzeni stuleci, w takich warunkach, ukształtował się zespół prastarych ludowych wierzeń, swoistej **mitologii**, którą od pewnego czasu, w kolejnych publikacjach przedstawiam i nazywam **Mitologią Żabięgo Kraju**. **Byłoby pytaniem retorycznym zapytać, czy te sugestywne wyobrażenia i piękne wierzenia, przekazywane z pokolenia na pokolenie w formie podań i baśni, mogą stanowić jedną z warstw kulturowych i składową herbowizny miejscowego ludu?** Dziś już wprawdzie pozostały tylko spisany materiał, wartościowym dla zainteresowanych, albo dla dzieci. Dlatego rozwinięcie tytułu tego rozdziału brzmi adekwatnie: **Było, minęło - dawne wierzenia i przesady**.

Prawie każdy z nas, nas „stela”, więcej lub mniej słyszał o baśniowych postaciach wód i lasów, utopcach, straszkach, diaskach i duchach, był straszony bebokiem, wyzywany gizdem. A może nawet któraś babcia lub mama opowiedziała lub przeczytała nam jakąś miejscową bajkę. Kiedyś takie opowiadki, baśnie, bery i powiarki snuli starsi ludzie i gawędziarze w długie jesienne i zimowe wieczory. „To rozmawiano o codziennych sprawach swoich i wioskowych, to śpiewano pieśni religijne albo świeckie, a najpiękniejsze chwile były te, gdy prządki opowiadały „godki”. (...) Niektóre zdolniejsze doprowadzały je do mistrzostwa¹⁰. Czasem opowiadano o tym w gospodach, przy szkubacze, smażeniu kreplików, pasieniu krów, na rodzinnych spotkaniach. Dawniej do wiosek docierali też wędrowcy, obieżyświaty, nazywani **wandrusami**. Byli to bezdomni, wolni ludzie, czasem pielgrzymi do świętych miejsc, którzy opowiadali baję, baśnie i podania, zwłaszcza o strachach i utopcach. Wandrusy to prości, niewykształceni ludzie, lecz obdarzeni zdolnościami gawędziarskimi i swoistą wiedzą o świecie. Byli i tacy, którzy ponoć umieli przepowiadać przyszłość i wróżyć. Niektórzy byli **sowizdrzołami** - wesołkami, którzy opowiadali śmieszne powiastki i wice, pokazywali zręcznościowe sztuczki, śpiewali żartobliwe piosenki.

Wierzenia w rozmaite duchy i zjawy były zjawiskiem powszechnym, jednakże ludzie światlejsi mocno w ich istnienie powątpiewali, co nie zmienia faktu, że przekazy o nich przetrwały do połowy XX wieku. Przyjrzyjmy się z bliska różnym **stworokóm**¹¹ ze świata fantazji, zanim całkiem znikną z przestrzeni wspomnień najstarszych z nas.

Utopce to najbardziej znane istoty, niezwykle popularne w Żabim Kraju. Mieszkały w rzecznych plosach, stawach, żabiorkach, jazach i wodnych młynach. Były to istoty na wpół ludzkie, na wpół diaselskie. Ludzie uważali, że wywodzą się od topielców.

¹⁰ K. D. Kadłubiec, *O kształtowaniu kulturowego oblicza cieszyńskiej ziemi*, Uniwersytet Ostrawski, „Górnośląskie Studia Socjologiczne. Seria Nowa” 2021, T. 12, s. 21.

¹¹ M. Kajstura, K. Puzik, *Jakto kiesi na Zorzyczu godali*, s. 48, 11, 19.

Wzrostu bywały niewysokiego, na ogół ośmioletniego chłopca, lecz o twarzy dorosłego mężczyzny. Głowy miały duże, wyłupiaste oczy, krótkie i cienkie nóżki zakończone płetwami, duży, baniasty brzuch. Dysponowały nadzwyczajną siłą. Ubrane były w strój zielony i nieodłączną czerwoną czapkę. Często jednak przedziergały się w przeróżne postacie: wędrowca, kawalera lub pannę, pasterza, rzecznego przewoźnika, bezpieczeństwa konia, żrebaka, kozę, świdratego capa, gąsiora, tłustą rybę. Istoty te szczególnie upodobały sobie dwie pory grasowania – w południe przed dzwonieniem na Anioł Pański oraz po oddzwonieniu w kościele na modlitwę wieczorną. Kiedy ludzie zapomnieli już o pacierzach i przeszli do swoich zajęć, utopce nabywały wielkiej mocy. Wychodziły z wody na brzegi, mosty, ławy, na gałęziach wieszały kolorowe wstążki i świecidełka wabiące dzieci, czatowały po nocach na dorosłych, na pijaków wracających z gospody. Potrafiły być bardzo groźne - utopić człowieka i zwierzę, konia, krowę, często jednak zetknięcie z nimi kończyło się tylko na podtopieniu i nastraszeniu. Były to także istoty zuchwałe i czupurne, psociły i figlowały, skacząc jak psotne cielę, robiąc kopyrki, przewracając kopy z sianem, pranie nad rzeką. Chichrał się potem z uciechy, śmiały skrzekliwie, klaskały w dłonie i nurkowały w wodzie. Utopce w niektórych przypadkach potrafiły się zaprzyjaźnić z człowiekiem, robiły z nim różne interesy lubiły zamieniać się przedmiotami, palić fajkę, grać w karty, kupowały kozie mleko dla małych utopieczków, szyły buty przy miesiączku. W swoich siedzibach pod wodą gromadziły skarby i pieniądze. Na osobnej ścianie, na półkach znajdowały się skorupy, muszle lub garnki – wszystkie podwracane do góry dnem, bo w nich, podobno, uwięzione były dusze topielców.

Dusze. Zdarzało się, że coś zaburzyło na drzwi, przy których nikt nie stał lub poruszyło klamką, zastukało na puste okno, zatrzymało zegar, otwały się drzwiczki w kredensie, stłukł się garnek lub talerz, rozlało mleko lub co gorsza - pękło lustro. „Cosik burzi, cosik grucho, pewnie dusze potrzebują pomocy, trzeja za nie porzykać, abo dać na msze. A może ktosik umar w rodzinie, abo we wsi. Nie dziwota, bo mi się w nocy nieboga babka przisiłła” – mawiano. Najdłużej zachowały się różne stare wierzenia bodaj w Zarzeczu. Hermina, bohaterka książki *Maryjka*¹², zarzeczanina Zbigniewa Wojnara, mówi o duszach: - „Jo pamiętóm, jak moja mama zostawiała w tym dniu (1 listopada, przyp.) uchylóne dźwyrze, a na progu ukłotali chlyb, bób, groch i insze potrawy do dusz, kiere odwiedzają swoje siedziby. (...) Nie boło wolno deptać kapusty, ubijać masa, ciąć liści do gowiedzi, szyć, szkubać piyrzo. Zanim sie zicło, trza boło dmuchnąć, aby niechący nie trefić na niewidzialnóm duszyczką. We wieczór ludziska siedzieli w chałpie, nie wychodzili o zmroku, by nie spotkać błąkające sie dusze. (...) Jak bołach bajtlym, to przed kierchowym i chałpami polili ogniska, kiere miały moc oczyszczanio. Błąkające sie duszyczki mógły sie ogrzoć. Na grobach topielców, wisielców też palóno ognie, by nie przeobrażały sie po śmierci w strachy.” Dusze straszły na cmentarzach i w ich pobliżu, a zwłaszcza koło samotnych, polnych i leśnych mogił. Mogły przybrać formę palących się płomyków zwanych

¹² Z. Wojnar, *Maryjka*, bmv, 2023.

bludziczkami¹³ albo **błędnymi ogniami** lub **mómiczkami (mómiczkami)**¹⁴ w oddalonych miejscach, najczęściej na łąkach za wsią i na bagnach. Nie należało w takiej okolicy gwizdać, bo to ściągało te zjawy, ani się do nich zbliżać, gdyż wtedy wabiły wędrowca, którego potrafiły wciągnąć na torfowisko albo na bezdroże, smykać po polach, wodzić ma manowce. Inny ich rodzaj – **świytloki (świytloczki)** – przeciwnie, potrafiły dopomóc, oświetlić drogę pomagając w trafieniu do domu. Należało im za fatygę koniecznie podziękować, wtedy opuszczały wędrowca. Przypadki pojawiania się dusz tłumaczono tym, że czegoś oczekiwały od żyjących. Mogły pochodzić od zmarłych grzeszników, ludzi, którzy się powiesili, od topielców, ludzi zamordowanych, niechrzczonych. Były to **dusze niespokojne** albo **pokutujące**.

Duchy, beboki, straszki, beskurcje. W niektórych domach straszło, zwłaszcza po nocach coś hałasowało, rómplowało na górze, czyli strychu, w piwnicy, stodole, słycać było ludzkie jęki albo płacz dziecka. Po zaświeceniu światła i sprawdzeniu tych miejsc okazywało się, że nikogo tam nie ma. Niebezpiecznie było chodzić samemu w nocy koło domu, studni, padoła, nad rzekę, przechodzić przez mostki i ławy. Wszędzie tam mogły pojawiać się duchy i strachy. W ciemnym lesie zjawy takie czaiły się nawet za dnia, ukrywały się w starych dudławych wierzbach, w zaroślach na końcu wsi. Mogły występować w postaci czarnych i rudych kotów, wyliniałych, ryszawych psów. „Nie idź na pole, bo cie bebok porwie! Nie idź sóm do lasu, bo cie straszek postraszy. Jak nie bydziesz grzeczny, to cie se bebok weźnie!” Bebok często służył perswadowaniu zwłaszcza dzieciom, że czegoś nie należało robić.

Mory, marchy, nocznice nachodziły śpiących ludzi w nocy. Potrafiły człowieka przydusić, wtedy miał ciężki sen, dostawał duszności, czasem omdlewał. Niektórzy ludzie z tego powodu nie kładli się do snu na wznak tylko spali półsiedząco, udawali przed morą, że nie śpią. Mora albo nie była widoczna, albo była białą, półprzeźroczystą postacią kobiety. Miała zdolność przechodzenia przez zamknięte drzwi i ściany. Morami stawały się pod osłoną nocy niektóre kobiety, nawet nie wiedząc o tym. Miały podobno podwójną duszę i prowadziły podwójne życie, inne w dzień, inne w nocy. Jak rodzicom urodziło się siedem córek, to było wiadomo, że siódmą będzie mora, mówili w Zarzeczcu¹⁵.

Wampiyrz inaczej **wypiór** (w Zarzeczcu), to stwór męskiego rodzaju, który potrafił człowieka doprowadzić do śmierci. Te zjawy mieszkały w grobach, a nocą wychodziły na łowy. Napadali na ludzi samotnych, zagubionych, rzucali się na nich i wypijali krew. Pochodzili od ludzi za życia okrutnych, którzy zginęli gwałtowną śmiercią.

Diaski (dioski), **czerty, gizdy, boruty i czechmóny** - wszystko to są odmiany **diabła**. Ale... diabeł diabłu nierówny. Diaskiem był nazywany diabeł, ale nie przybysz z piekła, lecz mieszkający na ziemi, taki niezbyt diabelski, tylko raczej straszący. „Zaś tam cosikej grucho na górze, rómpluje w sómsieku. Pewnie jakosik beskurcja abo diosek”. „Do czerta kandego!” – można było krzyknąć w desperacji. Czasem gdzieś dzwoniło, gdzie dzwonu nie było,

¹³ W. K. Czaińskiego (patrz Słownik), występują także na Morawach jako bludičky

¹⁴ Określenie zarzeckie.

¹⁵ E. Przemek, *Po zorzycku, po naszymu*, Zarzeczce-Chybie 2007, s. 34

szczyrkało, albo się zerwał wiatr w pogodny dzień. A w dni bardzo wietrzne mówiono, że „diobol się żeni”. Albo też mawiano: „A dmucho i fujo jakby się kto objesił.” Człowiek, który się powiesił, był zaś w mocy czerta, który czynił breweryje. „Na ty pierziński diosku” – można było powiedzieć do kogoś, kto nam zaszedł za skórę. „Ś niego to jest kónsek dioska” – mówiono o kimś niedobrym, zapewne kimś takim kierował sam czert. Albo jeszcze: „Ty giździe diobelski” lub „Ty giździe dioselski!”. A nawet: „Ty diosku stodioseczny!”. Diasek potrafił zamieszkać w piecu, kominie, szczególnie zaś uwielbiał stare kuźnie, które przypominały mu piekło. Z kolei gizd był najmniejszy z diasków, ludzie się go nie bali, wyśmiewali się z niego, był niegroźny, dokuczał i próbował straszyć. Bały się go tylko dzieci. Dlatego na niesforne dzieci, bo są małe i niegrzeczne, do dziś mówi się: „ty giździe!” Diasek i czert wymuszały cyrografy: „Dasz mi tylko coś niepotrzebnego, coś, o czym nie wiesz, że to masz” – takimi słowami potrafił namawiać i zwodzić człowieka w zamian za pieniądze i dostatnie życie. Wszelkie złe licha straszyły na granicach miejscowości, dlatego często stawiano tam krzyże i kapliczki, żeby teren był bezpieczniejszy. W Czarnolesiu na skraju czarnego lasu, jak sama nazwa wskazuje, gdzie korony drzew po obu stronach nader wąskiej drogi niemal się stykają i jest ciemno, pewien kolejarz chodzący tamtędy powiesił wraz z żoną na dębie małą kapliczkę dla bezpieczeństwa. Okoliczności tego zdarzenia były dość niezwykle i zostały opisane w opowiadaniu *Kapliczka w Czarnolesiu*¹⁶.

W lesie na Gołyszcu grasował swego czasu **boruta**. Uważał się ponoć za opiekuna i pana tego lasu, nękał zatem wszystkich, którzy naruszali spokój, wszelkich intruzów, kłusowników, grzybiarzy, drwali. Był to diablik wzrostu niewielkiego, ale barczysty, o płaskiej, ziemistej twarzy, z odstającymi, szeroko rozstawionymi rogami. Straszył w ten sposób, że nagle pojawiał się na końcu leśnej ścieżki, którą ktoś szedł, wpatrywał się w przechodnia, czasem ruszał brwiami i zgrzytał zębami, wydawał zapach siarki. Zauważony znikał i znów pojawiał prowokując do ucieczki. Nie należało się go bać, lecz zlekceważyć. W przeciwnym razie osaczał człowieka i tak długo gonił, aż gonitwą i strachem zamećczał ofiarę. Przekonywująca jest nazwa tego leśnego diablika pochodząca od „boru”¹⁷, w odróżnieniu od nieprzekonywującej, a utrwalonej w polskiej mitologii nazwy diabła Boruty, który z borem i lasem nie miał nic wspólnego. Ludzie byli narażeni na złe moce, duchy, beboki i diaski, gdy byli samotni. Stąd nauka, że nie należało być w różnych niebezpiecznych miejscach samemu. Wtedy nikt nie udzieli pomocy.

Z kolei stworki **micheche** rzadziej zwane **michejdami**¹⁸ bytowały w leśnych odstępach, których także tu nie brakowało. To odmiana diaska, który uwielbiał robić sobie żarty z ludzi, wykorzystywać ich. Często wchodził do kosza z grzybami, tragacza czy wózka z leśną trawą, które stawały się ciężkie, a człowiek musiał ten ciężar taszczyć. Następnie micheche ujawniał się i dziękował za podwiezienie, kpiąc tym samym.

¹⁶ Z. Nowrotek, *Rajskie lasy*, s. 80-82.

¹⁷ Podanie o borucie zarzeckim przekazał Ludwik Kajstura z Zarzecza, późniejszy mieszkaniec Ligoty.

¹⁸ Nazwa michejda również przekazana przez Ludwika Kajsturę. Być może występujące nazwisko Michejda nawiązuje do tej mitologicznej nazwy.



41. Leśna
fantazja

Czarownice, piekielnice, czutory, hyrpy w odróżnieniu od poprzednich istot, nie były duchami, lecz ludźmi, niedobrymi kobietami, umiejącymi czarować i kontaktować się z siłami zła, od których czerpały zdolności nadprzyrodzone. Niektóre z nich były tylko nieżyczliwe, mściwe lub zazdrosne, zdolne do odejmowania krwi mleka lub do psucia śmietany, że nie można było uckać masła, bo się nie chciało skrupić. Najbardziej złośliwe czarownice potrafiły spowodować nieurodzaj plonów, opady gradu, choroby lub urodzenie się kalekiego zwierzęcia czy dziecka. Urodzone, a zwłaszcza nieochrzczone jeszcze niemowlę, gdy było pozostawione samo w domu lub w polu, czarownica sama lub przy pomocy diaska podmieniała na dziecko obarczone jakąś skazą. Nazywano go potem podciepem lub ściepem. Dorodne dziecko zostało zamienione na pokraczne, chorowite, czy po prostu niegrzeczne, które się „stale darło”. Podciep nie rozwijał się normalnie, pozostawał małym pultkiem, lichego zdrowia charczkiem, krzpiącym charlokiem, skarłałą pieczką, szpotawy, chrómy, szury, świdrąty, puklaty, kudłaty nawet na brzuchu. Dzieci takie nie były kochane. Matki w afekcie potrafiły wprost takiemu dziecku nakrzyczeć: „A zawrzy już pysk, ty wstrętny podciepie!” lub: „A ustóń już ryczeć, ty ściepie sноплаты!”. Najczęściej jednak podciepami przezywano dzieci cudze, nieładne, niegrzeczne, które w czymś zawiniły lub były dziećmi nielubianych sąsiadek.

Lale. „Chowcie się dziecka kaj do dziury, bo was lala užere!” albo: „Uciekejcie stela, bo was lala užere!” – krzyczał ojciec do dzieci, gdy ku domowi zbliżał się jakiś obcy człowiek. Ktoś by pomyślał, że dzieci przeszkadzały dorosłym w rozmowie, a może po prostu były źle ubrane, bose, brudne i nie wypadało ich publicznie pokazać. Wyjaśnienie tego straszenia lalami jest zgoła inne. Kiedyś wierzono, że w każdym domu mieszkają indywidualne duchy domowe. Kiedy obcy przybywał z wizytą, mogły mu towarzyszyć jego duchy. W odległych czasach w Słowiańszczyźnie nazywano je lalami. Obcych duchów należało się wystrzegać i bać, w ich zwalczaniu pomagały własne lale domowe. W najdawniejszych czasach wizerunki lal – szmacianych postaci bez twarzy wieszano nad drzwiami, aby sygnalizowały obcym, że w tym domu już się znajdują opiekuńcze duchy. Lale to słowiańskie duchy bliskich zmarłych. Na ogół były przyjazne i opiekuńcze i tylko wobec obcych stawały się przykre. To nimi straszono dzieci.

Bożatka i duszyczki to domowe duchy opiekuńcze - dobre, dobrotliwe i wesole. Nie wszystkie więc duchy były złe. Te różne duszki, które przemieszkiwały w siedzibach ludzkich były przyjazne, uczynne i pomocne, chroniły domowy mir i odpędzały duchy złe. Opiekowały się zarówno domem, jak i jego mieszkańcami. Były odpowiednikami aniołów stróżów. Podobno były to duszyczki zmarłych dzieci, które nie zdążono ochrzcić. Odwdzięczały się za modlitwę oraz za resztki strawy, którą same wyjadały, jedzenie bowiem często traciło się z kredensu i odmaryji. Zdarzały się czasem rzeczy dobre a niewytłumaczalne: same zamknęły się drzwi, coś zastukało w okno, zapiszczało cienkim i miłym głosem w kominie lub piecu, wiadro napełniło się wodą przy studni. A zamiast budzika, którego dawniej nie było, wystarczyło pomodlić się za duszyczki, one obudziły człowieka o właściwej porze. W Cieszyńskim i w Czechach nadal funkcjonuje pieszczotliwe słowo bożatko, ale już tylko w odniesieniu do małego dziecka lub zwierzątka i oznacza maleństwo, biedactwo. „Bożatko moje” - brzmi tak samo jak „duszyczko moja”, właśnie dlatego, że bożatko jest przecież dawnym duszkiem. To bardzo stary wyraz będący pozostałością po mitycznych, opiekuńczych bożatkach.

Obrońca przed złymi. Rozpowszechnione było przekonanie, że w przypadku zetknięcia się z wszelką złą istotą skuteczną była moc modlitwy, święconej wody, święconej kredy, różańca, szkaplerza, czynienie znaku krzyża, żegnanie się. Wtedy nieczyste siły odstępowały, a człowiek ratował się z opresji. Czerty, straszki, marchy i utopce w popłochu, krzyku i złorzeczeniach uciekały. Innym sposobem było trzykrotne spluwanie za siebie, a woźnica mógł jeszcze tyle samo razy strzelić z bata. Jeśli to nieskutkowało, należało wszelaki urok odczynić, lecz umiały to tylko niektóre baby, znachorki, zielarki znajdujące się na tym.

Postępujący się gwarami śląskim nie zdają sobie sprawy, że istnieje całkiem spora grupa wyrazów, mających odległy **rodowód w mitologii** śląskiej, słowiańskiej, czasami europejskiej, na co zwróciłem uwagę w tekście o mitologii *Żabiego kraju*¹⁹ w 2018 roku. Znalazło to potwierdzenie na kartach niezwykle wartościowej pracy Barbary i Adama Podgórskich *Mitologia Śląska*²⁰ wydanej dwa lata później. To obszerne kompendium zawiera wiele tożsamy lub podobnych informacji z różnych rejonów Śląska. Podobnej wiedzy informacji nie znajdujemy w innych słownikach regionalnych, gdzie wiele tego typu wyrazów określa się wyłącznie jako przezwiska, nie docierając do ich pierwotnego znaczenia. Ztracono tym samym zdolność rozróżniania warstwy pojęciowej od znaczeniowej i zagubiono pierwotny desygnat wyrazu. Mam na myśli chociażby takie popularne wyrazy, jak: bebok, bożatko, cosik, cug (powietrza), gizard, kuchyniok, mandora, morus, paskuda, piecuch, pierón, pierónek, podciep, potwora, pyrtok, siaróński, skrzot, stwora, utopiec i inne. Spójrzmy na niezwykle głęboką i interesującą ich etymologię. Poniższy materiał został wyjęty

¹⁹ Nowrotek Zdzisław, *Ligota dawnymi laty*, Ligota 2018, s. 261.

²⁰ B. i A. Podgórszy, *Mitologia Śląska, czyli przywiarki ślónskie*, Katowice 2020.

z prezentowanego w tej książce *słownika czechowickiego* i stanowi własną propozycję autora:

bez uroku - zaklęcie zabezpieczające przed urokiem: „*Bez uroku*”- *pedziła Wikcia, jak uwidziała prawoka, a był to piyrszy grzib na grzibobranu.* [ZN_O] | <mit. śląsk. – zabezpieczenie przed urokiem, odczynienie uroku>

beskurcja, beskurcja – 1. łobuz; *pierw.* bez krucy, czyli bez krzyża, tj. bezbożnik 2. bydle, potwór, bestia | <łac. bestia, mit. śląsk. bezbożny> bestia: *Do wiyrzbin na Burzeju splągła sie kiesi beskurcja, końsko głowa na pajęczych nogach.* [ZN_D]

bebok – straszycło: *Jak bydziesz spórny, to cie bebok zebiere!* | <mit. słow., starop. bobo - strach>

berdyja – bestia, wielki zwierz | <mit. słow, starop. – potwór>

bludniczki – błędne ognie: *Bludniczki i błędne ognie wodziły oźralców po manowcach i niejedyn dziepro nad ranym dowlyk sie do chałpy.* | <czes. bludičky> | <mit. słow. ogniki, błędne ognie, mit. śląsk. – świytloki>

boruta – leśny diablík: *W zorzyckim lesie grasował pono boruta, leśny diosek.* [LKa] | <mit. słow., starop. - leśny diabeł>

bożatko - 1. maleństwo, biedactwo, niebożatko 2. bożatko, domowy duszek opiekuńczy | <por. czes. božátko, nebožátko> | <mit. słow., starop. - bożatko, dobry duch domowy, opiekuńczy>

cosik – 1. coś 2. zły duch | <mit. słow., starop. - zły duch zadający pytania>

cug – 1. pociąg 2. ciąg powietrza np. w kominie | <niem. Zug> 3. niezdrowy ciąg powietrza, przeciąg | <mit. słow., starop. - zły duch w postaci niezdrowego przeciągu [BAP, ZN_D]>

gizd – 1. maluch, łobuz 2. karłowaty demon [BAP], [ZN]; **gizduła** - łobuzica | <mit. śląsk., por. starop. gid - brud>

howado – 1. bydlę, duże zwierzę, bestia 2. bestia, potwór | <mit. słow., mit. śląsk. – bydlę, bestyja, potwór>

howado pół kónia | <mit. śląsk. bestia pół kobieta, pół koń [HP]>

irere rzad. - strach na dzieci, diabeł?: *Jak bydziesz spórny, to cie irere sebiere!* | <mit. śląsk., - strach>

karzołek – karzełek, krasnal, małego wzrostu dyskretny mieszkaniec domu lub lasu | <mit. słow., mit. śląsk., starop. - skrzat>

kuchyniok – piecuch, domator 2. | <mit. śląsk., domowe leniwe lichó [BAP]; duch opiekuńczy zmarłego przodka [BAP]>

lala – duszek domowy, dzieci straszycło się lalą, czyli obcym duszkiem innego człowieka: *Dziecka, chować sie, jakiś wandrus idzie, jeszcze was lala užere!* | <mit. słow., mit. śląsk., starop.– duch domowy, opiekuńczy, obronny>

lichó – zły duch, obecne w zwrotach: *Do licha! Do licha kandego! Licho by to wziyno!* | <mit. słow., mit. śląsk., starop. – zły duch>

mandora – 1. szmaciana lalka do zabawy dla dzieci 2. strojnisia 3. w Zarzeczu kopka żyta z 9 snopów związanych powróstem i nakrytych czepcem | <mit. europ., prawdopodobnie od

mandragora, korzenia przypominającego kształtem człowieka, o silnych właściwościach narkotycznych, stosowanych przy uśmierzaniu bólu [BAP]>

marcha – 1. ścierwo, truchło |<starop. mercha, wszetecznicza, cudzołożnica> 2. |<mit. słow., mit. śląsk. – truchło lub zmora> 3. w innych językach |<niem. Mähre szkap chabeta, czes. mrcha ścierwo, padlina>

micheche, michecher [W-P] **miecheche** [KW], **michejda** [KZ] – diablik leśny: *Micheche był to diablik szpasowity, nieroz włoż kómuś do wora z trowóm i kozoł się niyś, a potym zmęczónymu chłopowi śmioł sie do oczy.* |<mit. śląsk. – prześmiewny dych leśny>

mora - zmora: *Zaś tej nocy mora chłopca cyckała, że ledwo obstoł.* |<mit. słow., mit. śląsk., starop. - zmora> 2. ćma

morus – 1. as, chojrak 2. siłacz 3. męski odpowiednik mory, zmory |<mit. słow., mit. śląsk., starop. – siłacz; hebr. golem? bezrozumny potwór>

najduch – podrzutek |<mit. słow., mit. śląsk. – podrzutek>

nocznica – 1. nocna zjawa: *Zaś go tej nocy nocznica posmykała po manowcach.* |<mit. słow., mit. śląsk., nocna zjawa uwodząca>

paskuda – 1. człowiek szkodnik 2. |<mit. śląsk. zły duch stajenny [BAP]>

piecuch, kuchyniok, pierónek – 1. piecuch, domator 2. |<mit. śląsk., domowe leniwe lichy [BAP]; duch opiekuńczy zmarłego przodka [BAP]>

paskuda – 1. człowiek szkodnik 2. |<mit. śląsk. zły duch stajenny [BAP]>

piekielnica – kobieta zła, zepsuta |<mit. słow., śląsk., starop. - mająca kontakty z diaskiem>

pierón – 1. piorun, przekleństwo |'jasny pierón, 'do jasnego pieróna'; 'a niech to jasny pierón'; 'a niech go...'; 'poszeł kaś w pieróny' 2. |<mit. słow., mit. śląsk. - Perun, bóg gromowładny>

pierónek – 1. piecuch 2. |<mit. śląsk., domowe leniwe lichy [BAP]; duch opiekuńczy zmarłego przodka [BAP]>

podciep – podrzutek: *Jedna baba chowała ogromnie spórnego bajtla, a nie wiedziata, że mo podciepa.*[ZN] |<mit. śląsk. – podmienione dziecko przez czarownicę [BAP]>

potwora – 1. niedobra lub szkaradna kobieta; 2. |<mit. słow., śląsk – człowiek-demon o zniekształconym wyglądzie [BAP, ZN]>

pyrtek – 1. maluch 2. męskie przyrodzenie 3. |<upyrtek, upyrdel <mit. śląsk. - człowiek-demon wykorzystujący swój bardzo niski wzrost w celu wyrządzania zła [BAP]>

siaróński – przekleństwo |<mit. słow., mit. śląsk. - śmierzący siarką diabeł [BAP, ZN]>

skrzot – 1. dziecko, „niewyrośnięty” człowiek, 2. skrzat |<mit. słow., mit. śląsk., starop. - mały złośliwy diablik, złośliwy karzeł [BAP]>

straszek – 1. strach polny 2. |<mit. słow., mit. śląsk., starop. – strach, postać baśniowa mająca straszyć przede wszystkim dzieci> 3. człowiek źle ubrany | 'wyglądać jak straszek'

stwora - 1. kobieta, niewiasta, przysł.: *Każdo stwora nóndzie swego amatora.* 2. |<mit. śląsk. - niewiasta o niezwyčajnym wyglądzie, często o cechach nieludzkich [BAP, ZN]>

stworoki |<mit. śląsk. - istoty ze świata baśni>

światłoki, światłoczki – świetliki, błędne ognie: *Światłoka ni ma co odganiać, bo i tak nie odyńdzie, bo to je dusza pokutujónco, trzeja mu podziękować za przisluge i porzykać za*

dusze, wtynczos odleci w spokoju. [ZN_L] |<mit. słow., mit. śląsk., starop. – latające nad ziemią światełka>

urzec, urzyc, urzekniycie |<mit. europ. zaczarowanie kogoś, zmienienie jego cech, pokierowanie jego losem: *Godajóm, że Zołza, co miyszko w pustym wiatraku pod lasym, to jędza, musiała mi krowe urzeknyć, bo ji mlyko spadło.*>

utopiec, utoplec, utopek, wasermón rzad. – wodnik, wodny demon, **utopcula** - żona utopca, **utopeczki** – utopcowe dzieci: *Nie wszyjscy wiedzóm, że utopce też majóm rodzine, babe i dziecka, tela że miyszkajóm pod wodóm.* |<mit. śląsk. - wodniki, wodne demony; mit. słow., mit. pol. - wodniki, mamony, mamuny; czes., słowac., ros.: vodniki, trsteniaki, koszarki, rakosniczki, wodianyje; w mit. germ. wassermanny>

wampyrz rzad. – **wampir**: *Wampyrze kręcili sie kole kierchowów, samotnych mogił, ciepali sie na samotnych ludzi, dusili i wypijali krew.* |<mit. słow., mit. śląsk., mit. europ. - wampir>

Przystępując przed kilku laty do zbierania na terenach „czechowickich” baśni i podań Żabiego Kraju nie sądziłem, że ich repertuar pozostał wśród najstarszych mieszkańców tak bogaty. Okazuje się częścią szerokiego nurtu **śląskiej mitologii i demonologii**. Poniżej zostaje przedstawione zestawienie wybranych **motywów i wątków związanych z mitologią i demonologią śląską**, które występują zarówno w leksykonie B. A. Podgórskich *Mitologia Śląska*, jak i w baśniach, podaniach Z. Nowrotka. W ostatniej kolumnie podane są tytuły opowiadań, berów, baśni itp. z książek: *Ostatnie roki 2017, Ligota dawnymi laty 2018, Ligota nieznana 2019, Drzewa mówią 2020, Rajskie lasy 2021*. W tym przypadku określenie „Mitologia Żabiego Kraju”, to tytuł rozdziału teoretycznego nt. mitologii, a „teksty zarzeckie” wskazuje na obecność hasła w którymś z tekstów książki *Zarzecze, Zarzecze... 2022*. Z kolei „Słownik STELA” oznacza występowanie danego hasła w Słowniku czechowickim niniejszej publikacji.

Poniższa tabela obrazuje wspólnotę **obszaru śląskiego w zakresie ludowej mitologii**, zarazem uwiarygodnia zebrane materiały z miejscowego „podwórka”. Julian Krzyżanowski jest autorem szczegółowej **systematyki ludowych motywów i wątków**, które w tej tabeli zostały uwzględnione, choć nie w każdym przypadku wystarczająco precyzyjnie z uwagi na dużą złożoność problematyki.

B. A. Podgórcy <i>Mitologia Śląska</i> (strony):	Hasło	Hasło lub opis występujące w tekstach Z. Nowrotka	Klasyfikacja wątków wg J. Krzyżanowskiego	Tytuły utworów Z. Nowrotka z występującym hasłem
451 61 62	bożęta bożatka	bożatka	T7000– T7020	„Mitologia Żabiego Kraju” „Słownik STELA”
329	dusza pokutująca	światełko, świytłok, błudziczki, błędne	T500–T559 T400–T499 T1640– T1674	O uczynnym światełku „Mitologia Żabiego Kraju”

		ogień, dusza niepokojna	T4000– T4050	
350	rogaty	rogaty	T8086 T800-T849	O szewcu zwanym Kruca
354	ropucha	ropucha	T275–T299	Śpiący rycerze na Podraju
358	sabat czarownic	sabat czarownic	T1440– T1524 T3030–T080 T1525– T1639	Zoźza, Opica i Szpek
362	siarón	siaróński	T8086 T800-T849	„Słownik STELA”
127 377 504	skarby	śpiący rycerze, wojsko św. Jadwigi	T7050– T8025	Śpiący rycerze na Podraju
415	stwora, stworoki	stworoki stwora	T4000– T4050	„Mitologia Żabiego Kraju” „teksty zarzeckie” „Słownik STELA”
134 416 507 306 307 127	suszyć pieniądze pieniądze pien. demoniczne diabelskie pieniądze	suszyć pieniądze, pieniądze zamienione w liście diabelskie pieniądze	T560–T649 T400–T499 T7050– T8025 T8070 T800-T849	Czarodziejski kamień Ostatni utopiec na Podjaziu Karzołki i opowieść wiglijna Czarodziejski kamień
41 280 281 282 276	nocznica nocnica	nocznice, nocnice	T4000– T4050 T6532	O końskiej głowie na pajęcznych nogach „Słownik STELA”
(Słownik gwar śląskich) 36	bestyjo, berdyja	Straszycło, beskurcja	T6532	<i>O końskiej głowie na pajęcznych nogach</i>
248 255	micheche michecher	micheche, michejda	T1640– T1674 T7050– T8025 T8086 T800-T849	Wesołek i urwis micheche „Słownik STELA”
125 54 106 287	zwodnicze demony	micheche, michejda, boruta, nocznice, utopce, błędne ognie, ogniki, błudniczki,	T4051– T4090 T4000– T4050	O uczynnym światełku Jak diabeł kusił kawalera „Słownik STELA”

		mómiki, mómiczki	T8070 T500–T559 T800–T849	
126	diabelskie kamienie	kolorowe kamyczki rudzicki kamień, latające kamienie	T560–T649 T400–T499 T7050– T8025 T8070 T800–T849	Czarodziejski kamień Latające kamienie Zoźa, opica i Szpek
140 187 236	duch leśny, boruta	boruta, micheche	T400–T499 T4000– T4050 T1640– T1674 T7050– T8025 T8086 T800–T849	Raubczyki na Rotuzie Karzołki i opowieść wigilijna Raubczyki na Rotuzie
43 57	bebok	beboki	T4000– T4050	Raubczyki na Rotuzie „Słownik STELA” „Mitologia Żabiego Kraju”
45 289,290 318	beczka ognista ognista kula	beczka ognista	T 400–T 499 T 1640– T1674 T 7050– T8025	Jak Jónek był w Piekle
47 104	biała gęś	gąsior biały ptok, biały gąsior	T500–T559 T1640– T1674 T220–T249 T7050– T8025	Jak Jónek był w Piekle Śpiący rycerze na Podraju
71	cug	cug w kominie	T4000– T4050 T3050	Zoźa, Opica i Szpek
71	cyrograf	„umowa”, „zapłata”, dasz mi coś czego nawet nie wiesz, że masz	T4051– T4090 T8070 T8086 T800–T849	Jak diasek kusił kawalera, Czarodziejski kamień
83 92 102	czarodziejka czarownica czutora	czarodziejka czutora; sabat	T3050 T3030– T3080	Zoźa, Opica i Szpek „teksty zarzeckie” <i>fragm. przewiska</i>
100 134 135	czechmón czert diabeł	diasek, diosek	T8070 T800–T849	O szewcu zwanym Kruca Jak diabeł kusił kawalera „Słownik STELA” „Mitologia Żabiego Kraju”

	diasek, diosek; diabły ziemskie nie z piekła			
105	demony antropomorficzne	utopiec o cechach ludzkich	T400–T499 T1440–T524 T1440– T1524 T4051– T4090 T1525– T1639 T8086	Na Ziemianym Mostku Tajemnica dwóch młynarzy Ostatni utopiec na Podjaziu Utopiec ze Zbijowskiego młyna O zakochanym Mizerku Niesforne utopeczki „Słownik STELA”
196 208-209	karzełki <i>por.</i> karzołki	karzołki	T500–T559 T4051– T4090	Karzołki i opowieść wigilijna
204	koń demoniczny	koń na dwóch nogach	T1–T99	Jak Jónek był w piekle
217	miesiączek	miesiączek	T1060	Raubczyki na Rotuzie
236	mamuna	mómiki	T4051– T4090	„teksty zarzeckie”
285	odczynianie	odczynianie odkabacanie	T400–T499	Zoźza, Opica i Szpek
298	omamienie	sen		Raubczyki na Rotuzie
430-1	śpiące wojsko, rycerze	śpiący rycerze	T8254 T400 T7050– T025–T499	Śpiący rycerze na Podraju
106 433-4, 439, 442	świątełka	światłoki błędne ognie	T500–T559 T4000– T4050	O uczynnym świątełku „Słownik STELA”
429-30	śmiertulka	śmiyrtulka	T4000– T4050 T7050–T025	Rozmowy ze śmiyrtulką „Słownik STELA”
460	uroczne oczy	zauroczenie	T400–T499 T8070	O zakochanym Mizerku Tajemnice domu nr 7
475, 477	utoplec	utopiec	T4060 T400–T499 T1640– T1674 T4051– T4090 T1525– T1639	Kropka kryska Serce dla innych Utopcowy jazek na Jordanie „Słownik STELA”

503	wodzenie	wodzenie <i>raubczyków</i>	T4051– T4090	Raubczyki na Rotuzie
484	wandrus	wandrus	T7050– T8025	Było, minęło w: Ostatnie roki „Słownik STELA” „Mitologia Żabiego Kraju”
489	wiatr	diobół się żyni	T8086 T800-T849	„Mitologia Żabiego Kraju”
456	wampyrz	wampyrz wypiór	T4000– T4050 T1525– T1639	Zoźa, Opica i Szpek Micheche kpi z ludzi „Słownik STELA” „teksty zarzeckie”
124	zadające zagadki	diasek grający w karty - zadawanie pytań	T7050– T8025 T800-T849	Najpierwszy staw w Ligocie
510 512	zapadła karczma zapadły klasztor	Zapadły dwór zapadły klasztor	T754 T1640– T1674 T7050– T8025 T8086	Najpierwszy staw w Ligocie Myszkowa dziura O pięknej zakonnicy z ligockiego klasztoru
268 512-513	zaraza	morowe powietrze	T7050– T8025	Rozmowy ze śmiertulką
517	złe ślypia	źrenice jak u koźła; oczy zarzeckiego boruty; chmara świecących oczu	T1525 T754 T1440– T1524 T4000– T4050 T8086	Najpierwszy staw w Ligocie Raubczyki na Rotuzie Kapliczka w Czarnolesiu
521 300 57 154 241	Zmora duchy nocne, mara, mora	mora	T7000– T7020 T4000– T4050 T4010 T4011	Mora na Peklu „Słownik STELA”
533	znachorka	czarodziejka, znachorka	T500–T559 T3030– T3080	Zoźa, Opica i Szpek Mora Na Peklu

Pochodzenie wierzeń tu opisanych posiada śląski, zarazem słowiański rodowód, choć niektóre zdają się sięgać tradycji ogólnoeuropej. Ta warstwa kultury i świadomości obok języka należy do najstarszej spuścizny mieszkańców Śląska z okresu przedpaństwowego. Wierzenia te występowały na obszarze całej Polski, czasem pod inaczej brzmiącymi nazwami, jak: wodniki, mamuny, bobki, bożątka, zmory, błędne ognie. W Słowiańszczyźnie, w mitologii ludowej, powszechnie funkcjonują wodne demony, w krainach sąsiednich - Czechach,

Słowacji, Rosji są to wodniki, koszarki, rakosniczki, trsteniaki, wodianyje. W mitologiach narodów Europy występują rozmaite duchy, diabły, bestie, leśne i bagienne zjawy, czarownice. W naszej części Śląska są wprawdzie specyficzne diaski, gizdy, marchy, czechmany, ale to tylko śląskie nazwy znanych gdzie indziej mitycznych zjaw.

Czy tylko zabobon? Wydawać by się mogło, że zabobony świadczą wyłącznie o niewiedzy i zacofaniu ludzi. Jednakże po uważnym zastanowieniu można dojść do wniosku, że były sposobem na tłumaczenie skomplikowanych, niezrozumiałych dla prostych ludzi zjawisk fizycznych i metafizycznych. Część z nich do dziś nie wyjaśnił i nie rozumie współczesny człowiek. Zakazy i nakazy, będące ważną częścią tych wierzeń, pełniły funkcję wychowawczą, ostrzegały przed niebezpieczeństwami. Opowieści i gawędy o różnych zjawach rozwijały wyobraźnię, spełniały ważną funkcję kulturową i społeczną, gdyż integrowały ludzi, stawały się czynnikiem kulturotwórczym, inspirowały, dostarczały emocji, czasem także bawiły. Obecnie patrzymy na to jako na interesującą i bogatą kulturową spuściznę, **herbowiznę**, lecz czy sami nie tworzymy nowych zabobonów, ubranych dla niepoznaki w we współczesną, czasem elektroniczną formę? Liczne internetowe horoskopy, postacie rodem z komputerowych gier z gatunku fantasy itp. są przecież tego wystarczającym przykładem.

Kondycja gwary, przyczyny zanikania i jaskółki nadziei

Gwara cieszyńska zanika na całym terenie występowania, lecz najszybciej w rejonie bielskim oraz w Czechowicach-Dziedzicach.

Cieszyńska mowa była do połowy XX wieku dość powszechnym środkiem komunikacji językowej w rejonie czechowickim. Moi dziadkowie żyjący w latach 1910 – 1990 w ogóle nie umieli posługiwać się poprawnym językiem polskim, a moi rodzice, w domu posługiwali się wyłącznie gwarą, w przestrzeni publicznej starali się używać polszczyzny, lecz była ona daleka od poprawnej. Podobna sytuacja panowała w innych znanych mi rodzinach, za wyjątkiem osób wykształconych. W domu, na tak zwanym podwórku, między sąsiadami, z bliskimi, rozmawiało się gwarą. Oczywiście nieco inaczej rzecz przedstawiała się w rozwijających przemysłowo Dziedzicach i Czechowicach, do których coraz liczniej napływała ludność spoza regionu.

Obecnie możliwość usłyszenia żywej cieszyńskiej mowy na obszarze od Czechowic-Dziedzic do Bielska–Białej staje się coraz trudniejsze, można ją jeszcze napotkać w tradycyjnych rodzinach wiejskich i na obrzeżach miast. Jednocześnie zauważamy znikomy jej przekaz w kolejnych zmianach pokoleniowych. **Dzieci i młodzież nie mówi już gwarą, która przestaje być używana i niedługo nie będzie osób, które będą się nią posługiwać.** Na taki stan rzeczy **wpłynęły** zarówno wydarzenia dziś już **historyczne** jak i zachodzące przemiany **współczesne**, zarówno **ponadregionalne**, jak i **lokalne**. Przyjrzyjmy się ich **chronologii**:

- Język polski i tradycje przechowywane były na Śląsku Cieszyńskim w okresie austriackiej dominacji w rodzinach oraz we wspólnotach parafialnych, zarówno katolickich jak i ewangelickich. „Oświecenie narodowe” dotarło na te tereny na krótko w okresie Wiosny Ludów 1848 roku, a po jej załamaniu dopiero w ostatnich dekadach XIX wieku i pierwszym dwudziestoleciu wieku XX-tego. Działały wtedy prężne organizacje polskie: Macierz Szkolna, Polityczne Towarzystwo Ludowe, Związek Śląskich Katolików, Polskie Zjednoczenie Narodowe, patriotyczno-wychowawcze Towarzystwo Gimnastyczne Sokół oraz wydawano gazetę „Tygodnik Cieszyński” od 1848 i „Gwiazdkę Cieszyńską” od 1851 z przerwami. Założono i prowadzono sieć bibliotek polskich.

- Polityka władz skutecznie propagowała kult jednostki w osobie cesarza, który kocha wszystkich obywateli, również tych na Śląsku, a polskojęzyczna społeczność nie czuła się w tym państwie obco.



42. Cesarski krzyż w Landeku i mogiła żołnierza I wojny światowej w Górkach Wielkich

- Wielu księży, nauczycieli, wójtów za działalność społeczną i administracyjną było nagradzanych państwowymi medalami nadawanymi przez cesarza, np. w Ligocie zostali nimi uhonorowani ksiądz Błażej Olejak, nauczyciel Jan Rudzki oraz wójt Józef Burejza, a Karol Willmann otrzymał krzyż walecznych za bohaterską postawę w czasie kampanii w Czarnogórze. Ludność śląska czuła się obywatelami austriackimi. Na Śląsku i w Galicji funkcjonowało powiedzenie: *My Poloki dobre Austryjoki*. Według G. Chromika „**Gdyby dwieście lat temu zapytać słowiańskich mieszkańców wsi Śląska Cieszyńskiego o ich pochodzenie etniczne, nie odpowiedzieliby, że jest to Niemiec, Polak czy Czech. Najbardziej prawdopodobną identyfikacją byłby Austriak.** Ta identyfikacja z państwem austriackim spowodowana była służbą wojskową i publicznym kultem cesarza. Na omawianym obszarze świadomość przynależności terytorialnej była starsza niż świadomość przynależności

etnicznej czy narodowej. **Do XX w. większość mieszkańców identyfikowała się jako Ślązacy** – w gwarze polskiej Ślązok, w gwarze czeskiej Slezak”²¹.

- Cesarz austriacki był nie tylko poważany, lecz wręcz kochany, postrzegany jako dobry i sprawiedliwy ojciec. Wydawał ustawy na korzyść biednych, wspierał finansowo budowy kościołów, przyznawał medale, osobiście odwiedził wiele miejscowości imperium, zatrzymał się np. w Skoczowie, Dziedzicach, Zarzeczcu, kontaktował z zabrzeżanami, a w Dziedzicach w gospodzie u Stryczka miał jeść jajecznicę. Jeśli nie wszystko jest prawdą, to obiegowa opinia jeszcze bardziej świadczy o sile zamierzonego przekazu. Nie powinna dziwić treść napisu na tablicy przydrożnego krzyża stojącego do dziś w Landeku: *Na pamiątkę błogosławnego panowania cesarza Józefa Franciszka I krzyż ten ufundowała gmina Landek*. Zaś na jednym z pomników, na cmentarzu w Górkach Wielkich, możemy przeczytać: *Błogosławieni w Panu, którzy za Ojczyznę i Cesarza umierają*. (patrz fotografie)

- Polityka narodowościowa administracji austriackiej zmieniała się z czasem i odeszła po roku 1867 od umiarkowanej germanizacji, kiedy rząd austriacki dopuścił nauczanie języków narodowych w szkołach ludowych, prasie itp. Nawet cesarski hymn był na Śląsku Cieszyńskim śpiewany po polsku, na uroczystościach państwowych, szkolnych, kościelnych i posiadał następującą treść:

Boże wspieraj, Boże ochroń / Nam Cesarza i nasz kraj, / Tarczą wiary rządy osłoń, / Państwu Jego siłę daj. / Brońmy wiernie Jego tronu, / Zwróćmy wszelki wroga cios, / Bo z Habsburgów tronem złączon / Jest na wieki Austriji los.

- Należy wspomnieć o pewnym „epizodzie” językowym związanym z mową mieszkańców Śląska Cieszyńskiego. Od XV wieku wzrastała tu rola języka czeskiego jako drugiego języka urzędowego po niemieckim. Wszak **mieszkaliśmy na ziemiach czeskich pod panowaniem Austrii**. Księgi ziemskie w księstwie były spisywane po czesku do 1775. Austriacy urzędnicy uważali bowiem język cieszyński jako dialekt morawski. Od 1782 r. system szkolnictwa na Śląsku austriackim został połączony z morawskim a język polski uznany za dialekt morawski. W szkołach uczono więc czeskiego. Po 1848 w niektórych miejscowościach doszło nawet do sytuacji, że nie było szkół trywialnych z nauczaniem niemieckiego na Opawskim Śląsku i Niemcy wysyłali młodzież do szkół do stolicy Opawy, gdzie była tylko jedna lub do Prus²². Na mocy jednej z ustaw rządowych w Pradze zobligowano urzędników państwowych, gminnych, nauczycieli, do obsługi petentów i nauczania w j. czeskim, nie morawskim i pilnie tego przestrzegano. Więc jeśli ktoś spotkał w literaturze regionalnej informację, że gdzieś uczono po morawsku lub dokument wystawiono po morawsku, może nie mieć racji. Urzędnicy morawscy byli znani w monarchii z niezwykłej skrupulatności, „papiescy” do przesady,

²¹ G. Chromik, *Geschichte des deutschslawischen Sprachkontaktes im Teschener Schlesien*, Regensburg 2019, s. 140, tłumaczenie własne autora.

²² G. Chromik, *Geschichte des deutschslawischen Sprachkontaktes im Teschener Schlesien*, Regensburg 2019, s. 185, 252-253.

bardziej niż austriacy, niemieccy i czescy. Wniosek z tego taki, że jeśli gdzieś napotykamy na wzmiankę o nauce w j. czeskim, czy dokumentach pisanych w czeskim, na pewno będzie.

- Od 1890 roku w dokumentach oficjalnych podaje się nazwy administracyjne i polityczne w wersji językowej potrójnej: niemieckiej, polskiej i czeskiej, np. Bielitz - Bielsko – Bílsko; Ellgoth – Ligota – Lhota; Czechowitz - Czechowice – Čechovice; Dzieditz - Dziedzice – Dědice; Braunau - Bronów - Brúnov; Kurzwald (Ober) - Międzyrzecze Górne - Dolní Meziříčí²³.

- Przy takim systemie nauczania poziom językowy ludności odzwierciedla na przykład napis na nowo oddanym dzwonie kościelnym w Ochabach w 1823 roku: „Pochwaleń budź Pan jeźisz wdicki az na wieki. Ten zwon jest przeloti z nakładem farnikow ochabskich i Jos. Czekanem fararzem. Schullehrer Johann Zukowski, gegoszen in Ustron”²⁴.

- Obywatele Śląska Cieszyńskiego (części Śląska Austriackiego) nie znajdowali się pod austriackim zaborem, a Cieszyniacy nie posiadali w pamięci zbiorowej takiego pojęcia. **Śląsk Austriacki**, a w nim: Cieszyn, Opawa, Bielsko, Czechowice, Dziedzice, Skoczów, Frydek, Frysztat etc., był krajem koronnym Cesarstwa Austrii ze stolicą w Opawie. Tereny te **nie podlegały rozbiorem Polski** z 1772 i 1795 r., ponieważ **ta część Śląska na długo przed tymi datami, bo od 1327 r. była w Królestwie Czeskim, a pod panowaniem Habsburgów od 1526 roku**. Fakt, że mowa polska w austriackiej monarchii przetrwała świadczy zarówno o sile przywiązania do niej, jak również o swobodach obywatelskich.

- Akcja czytelnicza *Gwiazdka Cieszyńska* w każdym domu zaskutkowałą dużą popularnością tego pisma, podnoszeniem wiedzy ogólnej społeczeństwa, wychowaniem patriotycznym, promocją języka polskiego.

- U schyłku monarchii pojawili się wybitni działacze propolscy, jak **ks. Józef Londzin rodem z Zabrzega**, który w dwudziestoleciu międzywojennym pełnił zaszczytną funkcję **burmistrza Cieszyna**.

- Wschodnia część Śląska Cieszyńskiego weszła w 1920 roku w skład państwa polskiego.

- W tymże okresie międzywojennym na Śląsk Cieszyński trafiali specjalnie przygotowywani w Krakowie **emisaryczni nauczyciele**, jak np. **kierownik szkoły w Zabrzegu Karol Pytel**, którego fabularyzowana biografia zostaje przedstawiona w tej książce w tekście *Karol Pytel, spełniona misja emisariusza*.

- W latach 20-tych Polski międzywojennej polskie radio z językiem polskim stało się obecne w każdym domu.

- Młodzież męska zostaje powoływana i służy w polskim wojsku.

²³ G. Chromik, *Geschichte des deutschslawischen Sprachkontaktes im Teschener Schlesien*, Regensburg 2019, s. 258-260.

²⁴ Por. G. Chromik, *Geschichte des deutschslawischen Sprachkontaktes im Teschener Schlesien*, Regensburg 2019, s. 142.

- Po 1945 roku w miastach i wielu wioskach następuje gigantyczna wymiana ludnościowa - ewakuacja ludności niemieckiej, a w jej miejsce osiedlenie ludności polskiej zza Bugu i Polski centralnej.
- Od lat 1960-tych do domów zaczyna trafiać telewizja z językiem polskim, sztuką filmową i teatralną.
- W miastach powiatu bielskiego następuje masowy dopływ ludności polskiej w okresie wielkich budowli PRL-u, FSM i innych.
- Upowszechnia się studiowanie, młodzież masowo kształci się na różnych poziomach edukacji, gdzie styka się z wykładowcami i rówieśnikami z różnych części kraju mówiącymi po polsku.
- Popularna się turystyka, poznawanie i zwiedzanie różnych rejonów kraju.
- Częstym zjawiskiem społecznym to mieszanie się rodzin „różnojęzycznych”, które skutkuje rezygnacją z użycia gwary na rzecz języka wspólnego dla wszystkich członków rodziny, którym prawie zawsze zostaje język polski.
- Następują zjawiska w obrębie mowy mieszkańców spowodowane tym, że gwara nie ewoluuje. Poruszanie się w świecie techniki i nowych technologii staje się coraz trudniejsze, wymaga języka nowoczesnego, a gwara w tym zakresie nie nadąża, nie rozwija się, następuje starzenie się gwary i jej nieprzydatność w wielu nowych sytuacjach.
- Stopniowo dochodzi do samorugowania wyrazów, zwrotów gwarowych z języka, wypieranych przez język używany w szkole, pracy, urzędach.
- Używanie gwary w środowiskach poza Śląskiem często powoduje poczucie wstydu.
- Gwara uchodzi za język nie regionalny, a wiejski, co powoduje psychiczny dyskomfort, gdyż uważa się ją za coś gorszego.

Podane przykłady nie wyczerpują całej złożoności problematyki zanikania gwary na przestrzeni ostatnich dwustu lat, choć wyliczonych zostało wiele. Pominęto w tym miejscu część informacji już podanych w rozdziale *Czym jest gwara?*

Język śląski? Jaskółki nadziei i nowe zagrożenia

Wszystkie wymienione niekorzystne dla gwary zjawiska nie oznaczają, że już teraz cieszyńska mowa w okolicy Czechowic-Dziedzic całkiem zanikła. Można ją spotkać w wielu miejscach i przy różnych okazjach. Z pewnością nie w formie sprzed lat i najczęściej przemieszana z językiem polskim potocznym. Można odnotować umiarkowane zainteresowanie czytaniem tekstów pisanych gwarą oraz książkami regionalnymi (informacja

własna z bibliotek). W szkołach sporadycznie są organizowane konkursy deklamowania gwarowych tekstów. Zespół regionalny Zabrzeg prezentuje tańce ziemi cieszyńskiej.

Z innych rejonów Śląska płyną bardziej optymistyczne wieści. Dr Aldona Skudrzyk pisze o zjawisku odradzania się gwary oraz jej nadal silnej pozycji: „Powszechne wśród badaczy współczesnej polszczyzny (...) jest przekonanie o dokonującym się w szybkim tempie procesie zanikania gwar. (...) Proces wyzbywania się gwary na Śląsku nie jest zjawiskiem powszechnym i nie poddaje się wspomnianym uogólnieniom. Silna pozycja gwary wynika nie tylko z jej bycia po prostu środkiem komunikacji, ale z jej roli jako istotnego znaku więzi, tożsamości etnicznej, regionalnej, kulturowej, rodzinnej. (...) **Obserwowane od kilku lat odradzenie się poczucia odrębności małych ojczyzn rodzi na Śląsku wiele inicjatyw**”.

W latach 2022-2023 prowadzona była na terenie Śląska akcja ankietowa w celu pozyskania wiedzy o stanie gwary. Brałem udział w tej akcji, choć w skromnym zakresie, więc dzielę się wiedzą o niej. Poniższa informacja objaśni nam istotę przedsięwzięcia oraz wskaże jego organizatorów: „Ten kwestionariusz stanowi część **badania naukowego dotyczącego stanu zachowania i używania różnych języków w Polsce**. Realizowane jest ono w Instytucie Sławistyki Polskiej Akademii Nauk w ramach grantu *Różnorodność językowa w Polsce* (Narodowe Centrum Nauki, kierowniczka dr hab. Nicole Dołowy-Rybińska, prof. IS PAN).

Kilka pytań zawartych w ankietach:

Co Pani/Pana zdaniem wyróżnia Ślązaków na tle mieszkańców innych regionów Polski? Czy za Ślązaczkę/Ślązaka może się uważać osoba z innego regionu Polski, która tutaj zamieszkała? Czy potrafi Pani/Pan mówić po śląsku? Jak rozmawiają/rozmawiali ze sobą Pani/Pana rodzice? Jak rozmawia Pani/Pan ze swoim/mężem/żoną, partnerem? Jak zwraca się Pani/Pan do obcej osoby spotkanej w swojej miejscowości? W jakich miejscach i jak często mówi Pani/Pan po śląsku? Czy uważa Pani/Pan, że wypada mówić po śląsku wśród osób, które tak nie mówią? Czy uważa Pani/Pan, że wypada mówić po śląsku, np. w urzędzie, w sklepie, u lekarza? Czy potrafi Pani/Pan czytać po śląsku? Czy uważa Pani/Pan, że pisany język śląski ma sens?

Według ostatnich narodowych **spisów powszechnych**: NSPL 2002, 2011, 2021, **deklarowana narodowość śląska** zamykała się w liczbach: 2002 r. 173 tysiące, 2011 r. 847 tysiące, 2021 rok 586 tysięcy osób²⁵. Ostatniej liczby nie można przyjmować wprost, gdyż dane pozyskiwane były przy zastosowaniu innej metody, stąd konieczna jest stosowna, szersza interpretacja²⁶.

²⁵ stat.gov.pl, wyniki NSPL 2002, 2011, 2021; dostęp 22.01.2024.

²⁶ P. Bujak, *Tożsamość śląska. Rzeczywistość czy XX-wieczna kreacja?*, Pogranicze. Polish Borderlands Studies, t. 4, nr 1, s. 68.

Na Śląsku, zwłaszcza Górnym na wielu płaszczyznach i przy zaangażowaniu wielu instytucji, także naukowych, trwają intensywne prace nad przygotowaniem podstaw do **uznania gwary śląskiej, czy szerzej dialektu śląskiego za autonomczny język**. Po raz pierwszy z aprobatą dla takiej inicjatywy wypowiadają się znani politycy. Najnowsze informacje z parlamentu są takie, że w dniu 20 marca 2024 r. w Sejmie odbyło się pierwsze czytanie poselskiego projektu ustawy o języku śląskim. Projekt przeszedł go pozytywnie i został skierowany do komisji ds. mniejszości narodowych i etnicznych. Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że **gwara śląska zostanie na terytorium RP uznana formalnie za język**, co niesie szereg skutków praktycznych. Administracyjne decyzje nie przekładają się jednak na automatyczne uznanie języka śląskiego w gremiach językoznawców, dialektologów krajowych oraz zwłaszcza światowych. Jak wiadomo ci kierują się innymi kryteriami systematyki języków. Już teraz trwają przygotowania resortu oświaty do wprowadzenia **nauczania** już nie gwary, a języka śląskiego w szkołach podstawowych i pierwszej klasie w szkołach średnich na zasadzie dobrowolności. Śląska kurator oświaty mówi o 1 września 2025 roku jako planowanej dacie wprowadzenia języka śląskiego w **wersji standaryzowanej (wspólnej dla regionów)** z elementami wiedzy o kulturze śląskiej do szkół. Jednakże to pozorne uprzywilejowanie rodzi duże niebezpieczeństwo dla obszarów, gdzie gwara zanika, jak chociażby w Czechowickiem. Dobrowolność wyboru nauczania języka śląskiego w szkole może spowodować, że będzie na tyle rzadko wybierany przez uczniów (rodziców), że dyrekcje szkół mogą nie zdecydować się na jego wprowadzenie w poszczególnych klasach, szkołach, rejonach. W „świat” pójdzie sygnał „tu nie mówią po śląsku”. Skutki są łatwe do przewidzenia. Zamiast korzystać z szansy ratowania gwary, dojść może do jej szybkiej oraz oficjalnej eliminacji.

Okruchy, okruszki

spóminki

Wielki mały świat. Świat mojego dzieciństwa i wczesnej młodości był bardzo mały. To jeszcze epoka „przedtelewizyjna”, więc wiedziałem o nim tylko tyle, ile podłyszałem z opowieści dorosłych. A ich świat też był mały. Jego horyzont wyznaczały sąsiednie miejscowości, gdzie jeździło się w odwiedziny do krewnych i na odpusty. Za widnokretem były miasta Dziedzice, Pszczyna, Bielsko, Katowice. Na południu majaczyły góry, raz błękitne, innym razem bure. Pierwszy raz byłem tam od razu wysoko, przewysoko, na Błatniej, jak jeszcze nie chodziłem do szkoły. Ta góra jest łyśa i widać z niej bardzo daleko, Goczałkowicką zaporę, gdzie się urodziłem, zanim była tam woda, kominy fabryk, kopalniane szyby. Najdalej od domu wyjeżdżali od nas „na pąc na Kalwaryje”. Wcześniej jeźdzowali cugym do Frydka, ale to były czasy moich prababek. Coś tam jeszcze z tego usłyszałem. Czasami też do

świętego Mikołaja uzdrowiciela w Pierścu i Matki Boskiej Fatimskiej w Turzy, ale nie było to powszechne. Zarzecz z Matką Boską Gołyską było zbyt powszednie, by opowiadać, bo było bardzo blisko. Zostało opisane w książce *Zarzecze, Zarzecz...*²⁷

Klepety. W domu wieczorami rozmawiało się dużo i często, w rodzinie i z sąsiadami, którzy bez zapraszania sami przychodzili i wszyscy razem klepecili. Były cztery tematy dyżurne: wojna (która niedawno się skończyła), przekludzka (przeprowadzenie z Zabrzega i Zarzecz do Ligoty jako przesiedleńcy z zapory), komuna, czyli szczęście na ziemi (którą teraz wprowadzała władza). A czwartym tematem były bery i bojki z Żabięgo Kraju. W berowaniu najlepsza była zorzyczanka Jadwiżka Dziendziel, czyli staro Dziyndzielka (po zarzeczku Dziandzielka), która regularnie odwiedzała nas dopóki mogła. Opowiadała po zorzycku o utopcach, mómikach, dioskach, morach, czechmónach, micheche, duszyczkach, bożatkach, świytłokach i raubczykorzach albo szwercownikach. Takim jak ja, oczy robiły się okrągłe jak jaja na patelni od słuchania. W paru moich bajkach było o czym pisać... Jak dziś pamiętam ją, chodziła do nas na skrót z obecnej Woleńskiej groblą stawu, czyli wołkiem, latem w jasnej chustce... z małym zawiniątkiem, w której było albo parę gruszek, albo ćwiartka buchty, czasem butelecza soku do herbaty... Gdzie są babcie z tamtych lat...?

Opowieści wojenne. Volkslista. Jeszcze lepszy Niemiec niż ty! Zapamiętałem z relacji dorosłych, że wieś nagle podzieliła się na Poloków i volksdojczów. Tych pierwszych było mało, bardzo mało. Później zrozumiałem, że tzw. oddanie volkslisty nikt nie uważał za jakąkolwiek formę niemieckości. „Ukrytej opcji niemieckiej” nie było. Ci „kierzi obzajtowali kole Niymców” (nadsაკივალ, schlebiali) nazywano „gupimi Niymcami”. „A, ś niego to taki gupi Niymiec” – mawiano. Zwykle ci sami byli potem „gupimi kómunistami” itd. Pewien rodzaj formacji umysłowej, nie światopoglądowej. Wszyscy tu czuli się u siebie, Ślązokami, bez względu na państwo jakie nie raz w historii ogłaszano. Gdy trzeba było wypełnić listę narodowościową w rodzinie odbyła się narada. Babka miała powiedzieć:

- Rychtyk wóm powiy, że nie wiy co napisać. Ludwik, jeżeś chłop, głowa rodziny, decyduj!

A dziadek na to:

- Pónbóg doł mi życie i ón mi go kiesi weźnie. Jak mi bydzie pisane tóm wojne przeżyć, to jóm przeżyjym i jako volksdojcz, i jako Polok. A jakby mi przisło zemrzeć, to nie chcioł bych przed Pónbóckym stanyć jako zdrajca. Volkslisty nie podpisujym.

Wkrótce na ich eleganckim, jak na owe czasy domu, gminny urzędnik powiesił tabliczkę wywłaszczenia. Odtąd rodzina mieszkała w swoim własnym domu jako lokatorzy, płacąc czynsz. Treulanderzy z Besarabii²⁸ kilkakrotnie przychodzili, oglądali dom, podobał im się, ale był położony zbyt daleko od kolei. To rodzinę uratowało i jako lokatorzy doczekali się wyzwolenia we własnym domu. Ale ich syn, Józiu, mój wujek, jak chodził do szkoły, by uczyć się języka Goethego i Schillera, był regularnie bity przez sąsiada volksdojcz, który chciał w ten sposób „zapunktować”. Gdy Józiu kolejny raz przyszedł do domu z zakrwawionym

²⁷ Z. Nowrotek, *Zarzecze, Zarzecz...*, Mnich 2022, s. 39.

²⁸ Przesiedleńcy niemieckiego pochodzenia sprowadzani z obecnej Mołdawii i osadzani w domach i gospodarstwach wywłaszczonych Polaków. Treuländer: treu – wierny, Land – ziemia, kraj.

nosem, babka rozżościła się i odważyła pójść do szkoły na skargę, co było czynem dość niezwykłym! Kierownik wezwał obu chłopców oraz rodziców, wygłosił mowę, a na koniec powiedział niesamowite, odważne, dyplomatyczne i jak się okazało skuteczne słowa:

- Od dzisiaj nie będziesz bił swojego kolegi! A wiesz dlaczego? – Bo on może wyrosnąć na jeszcze lepszego Niemca niż ty!

Jakie ja mam wyrzuty sumienia! Dziadek w czasie wojny pracował przy regulacji rzeki Białki w Bystrej. Budował jazy na rzece, wodospady. Był cenionym majstrem. Znał rzekę, gdyż mieszkał całe życie nad Wisłą w Zabrzegu, nawet ją dzierżawił dla połowu ryb. Dziwne, że Niemcy prowadzili tyle frontów w Europie i jeszcze chcieli im się regulować rzeki... Ich sprawa. Dziadek miał się fajnie. Jego szefem był inżynier z Pszczyny, oczywiście Niemiec, który stamtąd wyjeżdżał samochodem i po drodze wstępował po dziadka, aby razem jechać dalej do Bystrej. Wyjeżdżali tam co tydzień w poniedziałek i zostawali do soboty. Trzeba więc było ze sobą zabrać prowiant. A wszyscy mieli tylko skromne kartki żywnościowe. Od teraz wiemy, dlaczego inżynier przyjeżdżał po dziadka. Po napełnieniu żołądków nie było jadłem pakowano na automobil wiktuały na cały tydzień, począwszy od ogromnych bochnów chleba, przetworów ze zbijaczki, wyrobów mlecznych, miodu, po samogon. Dzięki temu dziadek miał stałą pracę i nie był wywożony do robót przymusowych do Niemiec. Dziś nikt się nawet nie domyśli, że wymienionych produktów nie wolno było wytwarzać, mielić mąki, bić świnie, masło należało oddać do gminy. Pocziwy anioł stróż, inżynier z Pszczyny, miał jednak przy tym pewien problem moralny, bo często mawiał:

- Herr Stigel (Panie Szczygieł)! Co ja z panem mam! Podpisz pan wreszcie volkslistę, to dopiero będziesz się pan miał dobrze. A tak, chyba pan wie, jakie ja mam wyrzuty sumienia...

Przyszedł jednak dzień, że dziadka ktoś z życzliwych sąsiadów zadenuncjował, że jest wrogiem niemieckim, bije świnie, robi masło, miele mąkę i ma w domu radio. Dziadek przesiedział trzy doby w areszcie (piwnicy), gdzie obecnie mieści się zabrzeska poczta. W komisariacie na etacie kucharki i sprzątaczkę zatrudniona była niejaka Gruchelka, kobieta dużej odwagi. Znała niemiecki i wszystko, co było mówione o dziadku podsłuchiwała, a przynosząc mu jedzenie informowała go. Dziadek więc wiedział, jak przebiega jego sprawa. Czwartego dnia Gruchelka przysłała ostatni raz ze śniadaniem i mocno podekscytowana powiedziała.

- Panie Szczygieł, ni móm dobrych wiadomości. Bieróm was do Auschwitz. Auto już podjechało. Niech was Pón Bóg mo w swoji opiece!

Zaraz potem dziadek został wezwany na ostatnią rozmowę. W trakcie niej zadzwonił telefon. Słuchawka była bardzo głośna. Ktoś z przełożonych zapytał wpierw, czy jest tam jeszcze taki człowiek. Następnie powiedział:

- Proszę natychmiast zwolnić do domu. To jest rozkaz! Zurück nach Hause!

Nie wiemy, kim był ten człowiek, który uratował dziadkowi życie. Być może inżynier, a może zabrzeski ksiądz Dyczek, który niejednej osobie wtedy pomógł, a mnie notabene ochrzcił. A może kto inny, ale nikt nigdy nie zgłosił się po nagrodę...

Königsberg, Prusy Wschodnie. Inna, bliska mi historia. 17-letni chłopak zdążył zaapać się na ostatnie pół roku drugiej wojny światowej w mundurze z orzełkiem innego kształtu niż jesteśmy przyzwyczajeni. Powołanie do wojska było konsekwencją, że jego jciec volkslistę podpisał. Rodzina zajmowała państwowe mieszkanie, a dzieci było siedmioro. Alternatywą było rozdzielenie rodziny i wywózka na roboty do Niemiec. Chłopak trafił w ciekawe miejsce, o którym niedawno było głośno, z powodu przywrócenia polskiej nazwy. Do samej stolicy Prus Wschodnich Königsbergu, wcześniej Królewca, potem Kaliningradu. Jednostka nie była jaka, nowoczesna, a w niej szkoła wojsk przeciwlotniczych Fliegerausbildungsregiments Nr. 51, Boelcke-Kasserne 11. Była tam cała grupa młodocianych ze Śląska. Gdy już ich przyuczono do obrony „ojczyzny” w strącaniu wrogich samolotów z czerwonymi gwiazdami i brytyjskimi trójkolorowymi kołami, zrobił się wielki zamęt i popłoch. Virus ante portas! Ewakuacja! Rosjanie szczelnie okrążyli miasto, wokół kanonada artylerii i spadające na miasto bomby.

Pod wagonami czekając na śmierć. Oddział chłopaków ze Śląska został rozdzielony, część załadowana na okręt, który na Bałtyku przejęli alianci. Ci mieli szczęście, trafili do Norwegii, a po wojnie wracali do kraju, inni płynęli do Anglii, Ameryki, Nowej Zelandii, na zawsze. Pozostali pociągiem przez Szczecin zostali przerzuceni do obrony Wrocławia. Tam jednak nie mieli czym walczyć, sprzęt przeciwlotniczy nie dotarł, bo torowiska systematycznie były niszczone. Przez dwa tygodnie na bocznicach kolejowej leżeli w śniegu pod wagonami i modlili się żeby przeżyć. Trwało długie i wielkie bombardowanie. Jednostka została rozbita. Kto został przy życiu uciekał na zachód albo na wschód.

Na krótko w domu. Lecz to był tylko początek jego drogi do wolności. Zaraz po wojnie utworzono polską milicję. Jeden z funkcjonariuszy brutalnie „doczepiał się” do jego siostry. Jako brat stanął w jej obronie. Usłyszał, że to sobie zapamięta do końca życia. I tak się stało. Za trzy dni był na Ubecji w Bielsku, gdzie wraz z innymi przesłuchiwany, bity, głodzony i wywieziony do obozu koncentracyjnego w Świętochłowicach. W obozie pod komendantem Żydem Morelem znów bity, torturowany, głodzony. Z tyfusu, przy pomocy mokrych okładów, uratował go niemiecki sędziwy lekarz. Po sześciu miesiącach wraz z wszystkimi zwolniony. Tak jak inni, którzy przeżyli, musiał podpisać lojalną, że nigdy w tym obozie nie był. – Może dlatego o tym piszę, bo jemu nigdy nie wolno było o tym mówić... O tych, którzy zaliczyli Andersa, napisano. I słusznie. Tyle o wojnie.

Samsonowe włosy. Gdy miałem cztery latka zawieziono mnie pierwszy raz do fryzjera, do Dziedzic. Tak się złożyło, że wyhodowałem sobie włosy długie jak u dziewczynki, gdyż od pewnego momentu nie pozwalałem się strzyć. Na ulicy Kolejowej, dwa punkty obsługowe fryzjer i fotograf mieściły się obok siebie. Mama zaprowadziła mnie najpierw do fotografa, który postawił mnie stojąco na fotelu, a do ręki dał wielkiego pluszowego misia, gdyż zbierało mi się na płacz z powodu perspektywy utraty włosów. Wszak w Biblii u niejakiego Samsona umiejscowiona była w nich siła. Wprawdzie nie wiedziałem o tym, ale pewnie czułem siódmym zmysłem. Zdjęcie mam do dziś, bardzo udane. Potem mama zaprowadziła mnie do fryzjera. Postrzyżyny odbyły się w atmosferze skandalu i zakończyły tym, że w domu zaraz po powrocie dostałem z emocji gorączki 40 stopni. Jak u Samsona, siły odeszły.

W Pszczynie na piedestale. Mieszkając jeszcze w dzielnicy Zabrzega Padjaz, zalanym wodami jeziora Goczałkowickiego, można było do Pszczyny dojść pieszo. Kobiety sprzedawały tam jajka, masło, a przede wszystkim grzyby, by potem kupić materiały na ubrania, gotowe kiecki, coś dla domu i przywoziły zawsze potrzebne pieniądze na codzienne zakupy w sklepie. W Pszczynie przeżyłem jako dziecko dramatyczne zdarzenie, które na zawsze zapamiętałem. Byliśmy na jarmarku, który od dawien dawna odbywał się na płycie miejskiego rynku. Dziś raczej niewyobrażalna byłaby obecność dziesiątek furmanek z końmi w takim miejscu. Jako mały chłopiec poruszałem się powoli, za wszystkim rozglądałem i mama nie mogła zrobić zakupów. Kazała mi więc zaczekać w pewnym miejscu i przykazała nie oddalać pod żadnym pozorem. W nagrodę obiecała kupić sztolwerki, cukierki najlepsze pod słońcem. Postawiła mnie w szczególnym miejscu, którego już nie ma. Mniej więcej pośrodku pszczyńskiego rynku była pozostałość po pomniku o bardzo zmiennej przeszłości²⁹. Był niemieckim pomnikiem wojennym *Kriegerdenkmal*, kilkakrotnie przerabianym, ostatni raz na pomnik Piłsudskiego, który z kolei hitlerowcy w czasie ostatniej wojny zwalili i zawlekli na brzeg rzeki Pszczynki. Został po nim na rynku tylko piedestał w postaci betonowej płyty i kilku schodów. Właśnie w tak zacnym miejscu, na podwyższeniu, oto stanąłem ja, oczekując na mamę i... sztolwerki. Z początku podobało mi się to miejsce, skąd z wysokości patrzył Piłsudski na zabytkowy budynek magistratu, secesyjny kościół ewangelicki, wieżę kościoła katolickiego, dachy i kawałek elewacji książęcego zamku. Mimo, że oczekiwanie przedłużało się, moją uwagę zajmował przetaczający się różnorodny tłum ludzi i oczy mamiała nieprzebrana ilość towaru, którym handlowano. Byłem tym oczarowany... W pewnym jednak momencie podbiegł do mnie pies, dość duży, taki, jakiego nigdy nie widziałem, biały w czarne kropki i bez ogona (dalmatyńczyk). Przestraszyłem się dziwoląga i rozryczałem. Właścicielka odciągnęła psa, ale ja już się nie uspokoiłem. Zacząłem wołać mamę, drzeć się. Byłem pewien, że już nigdy jej nie zobaczę. Zrobiło się zbiegowisko. Ludzie naradzali się co zrobić, usłyszałem słowo milicja (policja). Darłem się jeszcze bardziej. Sam w wielkim tłumie. Gdy przyszła mama, ludzie obsmarowali ją pouczeniami. I już nie pamiętam, czy sztolwerki smakowały. Kolejny raz okazało się, że stawanie na piedestałach pomników... kończy się źle.

Bielsko i język polski. Bielsko było dużym miastem, tam udawało się po większość zakupów. Również rolnikom sprzedawać swoje produkty bardziej opłacało się na targowisku w Bielsku. Koń z wozem musiał do tego miasta pokonać w Mazańcowicach Homówkę, wysokie i długo ciągnące się wzniesienie. Nasz sąsiad Józek, przezywany „śpiwokym” z tego powodu, że zamiast bata słownie dopingował do pracy swojego leniwego konia. Jego szkapa, na Homówskiej kympie, w upatrzonym, łagodniejszym miejscu uciniała sobie wraz z gospodarzem drzemkę. Gdy dziadek ich doganiał, budził głośnym wołaniem:

- Jozef, pieronie, nie spej! Paniczki na targu już na cie czakajóm! Jadymy!

Na jarmarku w Bielsku moją uwagę zwrócił język, którym posługiwały się różne paniusie, inny niż dotąd słyszałem i sam używałem. Powiedziano mi, że to język polski. Po latach dowiedziałem się, że przesiedlono tu wiele osób po opuszczeniu Bielska przez

²⁹ J. Z. Orlik, *Opowieści ziemi pszczyńskiej*, Tychy 2009, s. 222-232.

Niemców. Jak się obrazowo kiedyś wyraził znajomy - w ramach wymiany „kubatury”. Raczej mało dowcipne, choć chyba celne.

Stalinogród. W ważniejszych sprawach jeździło się pociągiem do Katowic. Pewne sprawy można było załatwić tylko „w województwie” i wiele rzeczy kupić. W metryce urodzenia mam stosowny wpis grubą maszynową czcionką: województwo stalinogrodzkie. Ależ tak! Takie były czasy. Jak z tym pomnikiem. Wczoraj taki, dziś taki, albo nic. A mówią, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki... Byłoby to mądre... Ale dziś znów co krok stoi albo pomnik mężczyzny w białej szacie, albo niewielka postać z czarnego kamienia... jako ewidentny kontrapunkt.

Przed potopem i bezbożna książka. Na Kalwarię pielgrzymowało się co roku. Był to wyjazd rodzinny, od najmniejszego do najstarszego członka rodziny. Przeżyłem tam wiele niezwykłych chwil i zobaczyłem wiele rzeczy. Na przykład na ścianach dwóch dziedzińców wisiały przymocowane dwie ogromne kości, co najmniej kilkumetrowej długości. Robiły wrażenie. Dorośli opowiadali o nich niestworzone rzeczy, że to żebra Adama i Ewy z raj, z kolei moi dziadkowie mówili mi, że to ze zwierząt „przedpotopowych.” A przed potopem wszystko było inne. Jak już umiałem czytać, z tego powodu wypożyczyłem w bibliotece książkę Kosidowskiego *Opowieści biblijne*. Przeglądając zdjętą z półki książkę zauważyłem bowiem okładkę oraz rysunki, które pasowały mi do tego przedpotopowego świata. Tego samego dnia, pod wieczór, nauczyciel, który mi tę książkę wypożyczył, gdyż był zarazem bibliotekarzem, pojawił się w naszym domu. Niczego dobrego to nie zwiastowało. Powiedział mamie:

- Wasz syn dzisiaj pożyczył taką bardzo bezbożną książkę, w której pisze, że to nie Pan Bóg stworzył świat, i że człowiek pochodzi od małpy. Nie dajcie mu tego czytać. Nie mogłem mu tej książki nie pożyczyć, bo wie pani, jak dzisiaj jest.

Gipsioki i inni. W szkole geografia i historia serwowały wiedzę o ludach i narodach w sposób bardzo teoretyczny i trudno to wszystko było pokoiarzyć. Ludzie mieli swoje wyobrażenia i opowiadali, kto gdzie i jaki jest. Niemcy, Rosjanie, Francuzi, Amerykanie. Lecz tamten świat znajdował się za jakąś ścianą. Nie można było tam jeździć. Realni byli najbliżsi sąsiedzi: na północy za Wisłą mieszkali Prusoki, kobiety Prusoczki. Prusoki nie godali po hanysku, a taką godką jak my (wyjaśnienie w rozdziale *Szukamy Śląska na Śląsku*). Dopiero Hanysi za Pszczyną godali inaczej. Za Białką na wschodzie przycupli sobie Galicjoki, inaczej Galilejczycy. Godali prawie tak samo jak my. Oni się na nas zawsze za coś gniewali, ale nie wiadomo za co. Za nimi Krakowioki. Ci mieli galoty pisane... Było takie śmieszne przysłowie, które się rymuje z ostatnim słowem. Gdzieś w Polsce, Poloki. Oni ładnie godali, jak w radiu. Na południu mieszkali Gorole. Dużo by o nich opowiadać. Byli strasznie nerwowi i seplenili (mazurzyli). – Gorol, powiydz czopka. – A cós to takigo płowiedzieć copka... Cieszynioki byli koło Cieszyna i w samym Cieszynie też. Ogromnie spokojny naród. Godali gynau jak my, częściej jednak rządili. Nasze kobiety nosiły ich piękne stroje i śpiewało się pieśniczki, np. Od Cieszyna sypana dróźeczka. My byliśmy Ślązoki. Trochę dziwnie się u nas złożyło, że sąsiedzi byli na ogół niedobrzy, nawet bardzo. Trudno nawet o nich powiedzieć coś miłego. Ale oprócz tego, co już napisałem, nie zdradzę nic więcej. Stare ploty. Bezpieczniej powiedzieć jak przezywano nas. Być może też nie bez powodu, chociaż to dziwne, bo nikt z nas nikomu

nic złego nie zrobił. A dobrego? – nie było czasu. A więc tak. Byliśmy jednocześnie: cysaroki, wasserpoloki, volksdojczce, ślezioki (od Śląska czyli Śląska, nie od śledzi), gipsioki (podobno od gipsu). Całkiem spora kolekcja. Nikomu nie mam za złe. Napisałem je małymi literami, bo nie uważam za nazwy. Od razu przyznam, że wahałem się, czy o tym pisać do momentu, kiedy wziąłem do ręki pewną poważną książkę, wielokrotnie tu cytowaną i dotarłem do rozdziału socjologicznego na temat opinii „Swoi – obcy”. Czytałem zawartość z wypiekami na twarzy, pośmiałem się i zacytuje dla porównania tylko te opinie, które jakoś przebrnęły się przez autocenzurę. Nie podaję źródeł, tylko stronice znaleziska, kto ma szczęście, ten znajdzie. A więc tak:

- o sobie: wszyscy tu (u nas) są mądrzy (384); dziewczęta tu jak róże (384)

- o sąsiadach: każdego poznać z jakiej miejscowości pochodzi, to ma pokrzywiony nos, to coś tam pokręconego (384); dziewczęta tam szpetne, nikt ich nie chce (385); rynek tam jest taki, że jak się kto położy, to nogi ma w owsie (389).

Sześć buczeć. Przypomniało mi się jedno powiedzonko o naszych stronach, podzielę się nim, gdyż jest genialne z powodu użytej tu niezwyklej metafory, zarazem chyba nieznane. Brzmi tak: „Idziesz na cysarskóm stróne sześć buczeć?” – Kluczem do jego zrozumienia jest... fabryczny buczeć (syrena), który o szóstej rano sygnalizował pracownikom oraz całemu „urbi et orbi” rozpoczęcie dziennej zmiany. Wielu mieszkańców okolic Pszczyny pracowało w czechowickim i dziedickim przemyśle, w fabrykach. Widocznie nie było społecznie promowane „wysługiwanie” się cysarokom. Powiedzonko miało także szerszy kontekst. Pewnej kobiecie z Poręby k. Pszczyny, która nie aż tak dawno wyszła za mąż za cysaroka i przeprowadziła się do niego, jej znajomi nie omieszkali wypomnieć: „Idziesz na cysarskóm stróne sześć buczeć?” – Stąd wiem o całej sprawie.

Ruscy wylecieli. Pewnego dnia 1961 roku świat oszalała na punkcie niecodziennej wiadomości. W kosmos „wyleciał” pierwszy człowiek z kraju o nazwie ZSRR, największego naszego sąsiada i „przyjaciela”. Niewątpliwie ten lot orbitalny kosmonuty Jurija Gagarina na wysokości 100 km wokół Ziemi, którą człowiek okrążył zaledwie w nieco ponad godzinę, był osiągnięciem niezwyklej, początkiem nowej ery, jeszcze większym propagandowym, a także o czym nie mówiono, militarnym. Oczywiście, ktoś od razu puścił w obieg kawał:

– Sąsiadko, słyszałaś?

- Co?

- Ruscy w kosmos wylecieli!

- Wszyscy?

- Nie, tylko jeden.

- No to co mi głowę zawracasz.

Na „srebrnym globie”. Amerykanie poczuli się powyższym faktem do tego stopnia dotknięci, że już po ośmiu latach, w 1969 roku ich obywatel stanął na „srebrnym globie”, na Księżycu. Nawiasem mówiąc odbyło się to bez użyciu komputerów. Polska jako jedyna w rodzinie „krajów socjalizmu”, bezpośrednio transmitowała postawienie stopy człowieka na

innym ciele niebieskim. Pamiętam ten moment. Było późno, telewizyjny spiker co chwilę informował, że lądowanie opóźnia się. Około północy, na ekranie czarno-białego telewizora zatrzepotało obrazem, po chwili kamera umocowana na burcie lądownika naprostowała się i ukazała metalową drabinkę. Po niedługiej zwłoce pojawił się człowiek ubrany w jasny kombinezon, z dużym „plecakiem” w którym miał powietrze do oddychania, zaczął powoli schodzić. Będąc na ostatnim szczeblu końcem buta musnął o grunt Księżyc, z powrotem cofnął nogę, jakby chciał sprawdzić jego realność, potem już skoczył na równe nogi. Stało się! Ciarki przebiegły mi po plecach! Wiedziałem, że jestem świadkiem czegoś na prawdę niezwykłego, przełomowego. Setki pokoleń ludzi przede mną takich rzeczy nie widziało! Za wcześniej się urodzili.

- *To mały krok człowieka, lecz wielki skok ludzkości* – takie wymowne słowa powiedział kosmonauta Neil Armstrong, patrząc na Ziemię, błękitny glob wielkości małego krążka na księżycowym firmamencie. My widzieliśmy nad horyzontem Księżyc, a oni Ziemię. Taka drobna różnica.

Ale ja wcale nie o tym chcę pisać, a o kościołach drewnianych. Dlaczego?

Kościoły drewniane. Opisane wydarzenie wpłynęło na moją wyobraźnię.

Dowiedziałem się, że w sąsiednim Międzyrzeczu jest człowiek, ksiądz, o nazwisku Tadeusz Klocek, który ma wielką lunetę, wie wszystko na temat nieba i astronomii i prowadzi koło astronomiczne. Niedługo byłem członkiem tego towarzystwa, a później jeszcze przez wiele lat. Kiedy z kolegą pierwszy raz pojechaliśmy do Międzyrzecza, ksiądz nie było na plebanii, a w kościele. Zbliżał się wieczór. Słońce chyliło się ku horyzontu. Nagle znalazłem się na wprost ogromnej budowli, drewnianego kościoła, który zdawał się być jako korab na górze Ararat, posągowy, ogromny rozmiarami i wielki siłą swej historii zamkniętej w drewnie. Stał na tym wzgórku już pół tysiąca lat, od 1530 roku! Czerwone promienie zachodzącego słońca omywały jego szerniałe ściany, dach, wieżę i tworzyły nieziemską, metafizyczną atmosferę. Przekroczyłem drewniany, zdeptany próg. Z oślepiającego słońca wszedłem w mrok wnętrza „starożytnej” świątyni. Stopniowo oczy przyzwyczajały się do zupełnie odmiennych widoków, przyszarzałych od czasu ścian, obrazów w złotych ramach, figury świętych, ołtarza, na którym

paliło się światełko. Poczułem zapach palonej mirry. Znalazłem się w świątyni, Domu Bożym. Pierwszy raz w drewnianym kościele. Było w nim coś, był w nim Ktoś. Od tego czasu byłem już w kilkudziesięciu drewnianych kościołach. Notabene ksiądz T. Klocek trafił na kolejną parafię do Grzawy, do drewnianego kościoła z 1492 roku. Obecnie spoczywa na cmentarzu w Kończycach, też przy drewnianym kościele.



43. Grzawa, kościół drewniany, 1492

Kościół drewniany, średniowieczny, gotycki i potem kolejne na nich wzorowane. Od czasów średniowiecznego osadnictwa po współczesność. Od Zamarskiego przy czeskiej granicy, po Blizne na Podkarpaciu (dawnej Małopolsce). Widziałem drewniane kościoły również w Łódzkiem, Wielkopolsce i te strugane przez górali, lecz śląsko-małopolskie są najpiękniejsze. Smukłe, strzeliste, proporcjonalne, harmonijne, gustowne, bezbłędne w swej niezwykłej urodzie, estetyce przekazu, sile duchowego oddziaływania. W pierwszym zdaniu książki J. Matuszczaka *Kościół drewniany na Śląsku* czytamy: „Pierwsza katedra we Wrocławiu była drewniana”³⁰. Obecnie najstarsze stoją z końca XV wieku. W Grzawie z 1492 roku, w Dębnie Podhalańskim z ok. 1490. Lecz ten ostatni nie górale budowali, gdyż tutaj ich jeszcze wtedy nie było. Budowane w konstrukcji zrębowej czyli poprzez układanie belek ścian poziomo jedna na drugiej, na rogach specjalnie zaciosywane, co gwarantowało trwałość łączenia. Dachy obowiązkowo pokryte gontem, czyli szindziolami (*niem.* Schindel, *czes.* šindel). Niektóre, w późniejszym czasie, dla ochrony ścian szalowane pionowymi deskami. Po 400-500 latach drewno niszczeje, więc budowano następne generacje tych średniowiecznych świątyń aż do XVIII wieku w niezmienionym kształcie i prawie zawsze sadzone na tym samym miejscu. Ze starszych brano wzorce, by nie odejść od oryginału. Są replikami tych, które na naszych ziemiach stanęły już w XIII, XIV wieku. Powiększono tylko ich kubaturę, bo przybywało wiernych. Leżą wokół nich na kierchowach kości przodków bezimiennych.

Piękne kościoły o strzelistych wieżach, górujące nad wioskami lub chowające się pośród starych dorodnych lip. **Znajdziemy je jak po sznureczku średniowiecznej kolonizacji. Są widowym dokumentem tożsamościowym dawnego śląsko-małopolskiego osadnictwa.** Często spotkamy się z określeniem „szlaku kościołów drewnianych”. Są jednak pośród nich różne już konstrukcje, także szkieletowe, czyli obijane deskami, rozrzucone w różnych miejscach i pochodzące z bliższych nam czasów. Od Beskidu Niskiego po Bieszczady napotykamy na drewniane cerkwie. To już jednak nieco inna bajka. Równie piękna, choć młodsza.

Miałem to szczęście odwiedzić tych kościołów wiele, kilkadziesiąt. Wymienię, które zapamiętałem, zastrzegając się, że tylko część pochodzi z miejsc najstarszego osadnictwa, pozostałe były wzorowane na nich, a nieliczne zostały zbudowane wg innej konstrukcji i architektury. Tak więc: Zamarski, Bielowicko, Kończyce Wielkie, Kaczyce, Pielgrzymowice, Międzyrzecze Górne (spłonął w 1993), Komorowice Krakowskie (tego nie widziałem, przeniesiony do Krakowa, tam spłonął), Wisła Mała (Niemiecka), Łąka, Pszczyna (spłonął w czasie wojny, też go nie widziałem), Ćwiklice, Grzawa, Miedźna, Góra, Jawiszowice, Stara Wieś, Osiek, Nidek, Barwałd, Bieruń, Lgota Toszecka, Istebna Kubalonka, Szczyrk, Kamesznica, Łodygowice, Gilowice, Ochotnica Dolna, Orawka, Łopuszna, Harkłowa, Dębno Podhalańskie (Unesco), Białka Tatrzańska, Witów, Trybsz, Lipnica Murowana (Unesco), Gosprzydowa, Biesiadki, Iwkowa, Jastrzębia, Wojnicz, Tarnów, Zawada, Gromnik, Skrzyszów, Kamionka Mała, Krużłowa, Kąclowa, Trzcinica, Libusza, Podole, Polna, Przydonica, Ptaszkowa, Raciechowce, Rożnowice, Rzepiennik, Siemiechów, Skrzydlina, Szyk, Sękowa, Binarowa (Unesco), Tylmanowa, Iwonicz, Jasienica Rosielna, Haczów, (Unesco), Blizne (Unesco) i inne. Niektórych zapewne zapomniałem wymienić.

Okruszynki życia. Tyle rzeczy do opowiedzenia... lecz nie ma w nich czynów niezwykłych, choć były czasy, gdy bohaterstwem było przeżyć, dać dzieciom jeść, zakupić buty, by nie chodziły zimą boso. Latem mogły lub musiały.

³⁰ J. Matuszczak, *Kościół drewniany na Śląsku*, Wrocław 1975, oba cytaty s. 7.

- Czyjeś **okruchy, okruszki, okruszynki** życia. Kogoś **STELA**. Każdy napisałby podobne. Komu to teraz potrzebne wiedzieć... W tytule książki autor jednak napisał... i **rozmowy o tożsamości**.
